

**Heterotopie
miejskie –
oddolne
scenariusze**



Wrocław po drugiej stronie lustra

Kamila Kamińska

– Co za ludzie mieszkają tu w okolicy?

– Z tamtej strony – powiedział Znikot machając prawą łapą – mieszka Kapelusznik, a tam (machnął lewą łapą) mieszka Marcowy Zajac. Zajrzyj albo do jednego, albo do drugiego; obaj są zwariowani.

– Ale ja nie chcę chodzić do nikogo zwariowanego – zaprotestowała Alicja.

– Niestety nic na to nie poradzisz – odrzekł Kot. – My tu wszyscy jesteśmy zwariowani. Ja jestem zwariowany. I ty też jesteś zwariowana.

– Skąd pan wie, że jestem zwariowana? – zapytała Alicja.

– Z całą pewnością jesteś. Inaczej byś tu nie przyszła.

Lewis Carroll¹

¹ L. Carroll, *Alicja w krainie czarów*, Wydawnictwo Bona, Kraków 2012, s. 57.



Lustro ma wiele znaczeń, jest symbolem, za którym kryje się wielobarwna, heteronomiczna rzeczywistość. Oznacza: „świat, niebo, Słońce, ogień, płomień; życie przeznaczenie, proroctwo, wróżbę; kobiecość, próżność, zalotność, miłość, kurtyzanę; przyjaźń, dumę, ostrożność, kruchość; przekaźnik informacji, ego, wzrok, widzenie, objawienie, wizję, ideał, wyobrażenie, wyobraźnię; odbicie, dwoistość, echo, refleksję, introspektywę, retrospektywę; myśl, samowiedzę, kontemplację, świadomość, samokontrolę, samorealizację; wiedzę, prawdę, satyrę”².

Pośród tych wielu znaczeń w kontekście tego tomu przywołuję lustro z opowieści Le-wisa Carrolla jako pierwotną heterotopię i symbol wiary w niemożliwe. Oba te obszary stanowią kontekst każdej rozmowy o przyszłości. Czymże jest bowiem miasto w perspektywie 20 czy 40 lat, jeśli nie krainą „po drugiej stronie lustra”? To ontologiczne założenie, iż coś tam jest, coś co jest niewiadomą, jednak istnieje, nabiera znamion edukacyjnych wraz z możliwością przedostania się do niej, transgresji w wymiarze pedagogicznym. Rytuały przejścia znajdują swoje odzwierciedlenie w wielu baśniach i historiach: od carewicza Iwana, który próbuje wejść do chatki Baby Jagi, przez gąszcz płaszczy zimowych wiszących w szafie będącej przejściem do Narnii. Szklana tafla lustra jest jednak nieco inną bramą. Jak wskazuje Michel Foucault, lustro jest w swej istocie utopią, gdyż jest miejscem bez miejsca, pozwala nam widzieć siebie tam, gdzie

² W. Kopaliński, *Słownik symboli*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2015, s. 204.

3 M. Foucault, *Inne przestrzenie*, „Teksty Drugie” 1995, nr 6, s. 117–125.

4 *Ibidem*.

5 Zob. *Heterotopia and the City: Public Space in a Post-Civil Society*, red. M. Dehaene, L. de Caeter, London 2008.

6 Na ten temat dyskutowali m.in. Walter Benjamin, Benjamin Genocchio i Edward Soja.

7 M. Mendel, *Pedagogika miejsca. Pedagog i (jego) miejsce*, niepublikowany wykład wygłoszony na seminarium „Budynek instytutu jako przestrzeń i jako miejsce” zorganizowanym przez Koło Naukowe Pedagogów Didaskalia z Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 21 maja 2010.

8 M. Foucault, *op. cit.*, s. 125.

9 M. Mendel, *Heterotopologia jako odmiana myślenia o badaniach*, [w:] *Obraz, przestrzeń, popkultura. Inspiracje badawcze w polu pedagogiki społecznej*, red. B. Kosmańska, M. Ejsmont, M. Mendel, Toruń 2006, s. 169.

nas nie ma³. Dzięki metaforze lustra jako utopii – w wykładzie wygłoszonym do grupy architektów w 1967 roku, opublikowanym dopiero po 17 latach, po polsku zaś dopiero w 1995 roku – Foucault wprowadził zupełnie nowe określenie dla opisu rzeczywistości (także społecznej): heterotopia⁴. Auditorium nie było w tym wypadku bez znaczenia, zaś termin ten początkowo eksplorowany był głównie w *urban studies*, architekturze i geografii humanistycznej. W dosłownym tłumaczeniu heterotopia to „miejsce inne”, różne. W projektowaniu nazywa się w ten sposób przestrzeń poza głównym nurtem, czy też na marginesie dominującego społecznego paradygmatu. Jej główną cechą, na co zwraca uwagę Levien de Canter, jest wielość sfragmentaryzowanych czy nawet niekompatybilnych znaczeń⁵. Istnieje wiele interpretacji tej teorii Foucault’a na gruncie urbanistyki, faktem jednak jest, że odczytanie heterotopii przez pedagoga społecznego jest inne niż przez architekta czy geografa humanistycznego. Ci drudzy zdają się skupiać swą uwagę na czterech typach owych przestrzeni, mianowicie: heterotopii kryzysu, dewiacji, iluzji i kompensacji. Płynące stąd dla urbanistów i architektów wnioski poddawane są krytycznemu oglądowi. Prawdopodobnie interesującym byłoby badanie scenariuszy przyszłości miasta w kontekście tych czterech kategorii. Na takie analizy z pewnością przyjdzie pora, zachęcamy także czytelników do takiego spojrzenia na te teksty. Tymczasem na szczególne podkreślenie zasługuje dyskusja wokół wyrotowego potencjału owych przestrzeni, „miejsz innych”. Naukowcy stają tu na skrajnych pozycjach, od całkowitego mu zaprzeczenia po nadawanie heterotopiom niemal kluczowego znaczenia w walce z hegemonicznym porządkiem⁶. Spoglądanie na miasto w odległej perspektywie czasowej wymaga wiary w zmianę, zatem ten potencjał wydaje się niezbędny do snucia jakichkolwiek opowieści foresightowych. Czy wizje mogą kreować rzeczywistość?

Pytanie to pozostawiam otwartym. Dla porządku wywodu i zarysowania kontekstu tej części książki chciałabym z uznaniem odnieść się do interpretacji wprowadzonej przez Marię Mendel⁷, która – jak przyznaje sama autorka – daleko wykracza poza zaproponowaną przez Foucault. Filozof wyszedł w swych rozważaniach od lustra, ale zakończył je odwołaniem do statku/łodzi jako heterotopii *par excelance*, podkreślając jego znaczenie dla wolności: „w cywilizacjach bez łodzi wysychają sny, szpiegostwo zajmuje miejsce przygody, a policja miejsce piratów”⁸. Tymczasem Mendel zatrzymuje się przy metaforze lustra, zaś z „przecięcia się spojrzeń” – tych „wychodzących” z oka patrzącego z perspektywy rzeczywistości empirycznej i z oka tego, który patrzy z przestrzeni za taflą lustra – czyni kluczową kategorię interpretacyjną heterotopologii. „W związku z tym, że miejsca są zawsze czyjeś, zawsze należą do kogoś, bo nie ma miejsc jako takich, heterotopia, jako wspomniane skrzyżowanie, przecięcie się spojrzeń, jest miejscem tych miejsc”⁹. Przechodzimy tutaj w znaczący sposób ze stricte empirycznego, lokowanego w przestrzeni fizycznej, poszukiwania „miejsz innych” do rozumiejącego, świadomie przeżywanego ich doświadczania. W ten sposób miejsce,

które *par excelance* nie jest wcale „inne”, nabiera takiego znaczenia dla uczestników interakcji, które w nim zachodzą, pod warunkiem wykorzystania jego potencjału: „heterotopie istnieją jako miejsca sieci relacji człowieka ze światem i z samym sobą, istnieją w rzeczywistości, ale »ukazują się oczom« tylko w ramach refleksyjnego oglądu, w warunkach krytycznego, niejako po raz drugi, z dystansem i w pewnym oderwaniu od czasu »mającego owe miejsce« spojrzenia (na) »człowieka w-świecie«”¹⁰.

Nie każdy ma szansę, jak Alicja, przedostać się na drugą stronę lustra, do krainy nieistniejącej, do utopii. Jednak każdy z nas, dzięki wykorzystaniu arsenału dostępnych środków, może patrzeć na nasz świat, na zastaną rzeczywistość i postrzegać ją z dystansu jako „miejsce inne”. Mendel podkreśla pedagogiczny charakter takich zabiegów, ich wartość dla naszego świadomego stawania się człowiekiem w świecie. Wydaje się, że można w tej interpretacji iść dalej i właśnie w owym „skrzyżowaniu spojrzeń” doszukiwać się wyrotowego potencjału heterotopii – jeśli jesteśmy w stanie spojrzeć na dany fragment rzeczywistości jak na inny, możemy też go zmienić. Niewątpliwy zaś potencjał heterotopologii jako formuły badawczej został wykorzystany w myśleniu o przyszłości.

Poniżej prezentujemy zbiór esejów. Stanowią one autorskie reprezentacje przeszłości Wrocławia. Autorzy to mieszkańcy miasta, może nieco nieoczywiści. W typowym, polskim, wciąż dość homogenicznym mieście wyszukałam osoby reprezentujące różne kultury, wrocławian, którzy wyglądają inaczej niż większość mieszkańców, oprócz polskiego władają innymi językami, mają różnorodne korzenie i marzenia. Zaprosiłam ich do projektu, dziękuję im za okazane zaufanie i twórcze podejście do zadania. Wiedzieli, jakie są założenia badań, znali inspiracje z Italo Calvino i Władimira Proppa. Prowadziliśmy bardziej lub mniej intensywne rozmowy o przyszłości miasta. Każdy z nich wybrał też jedną z kart Miasta Przyszłości stworzonych przez Patrycję Mastej. Stanowiły one, podobnie jak na warsztatach badawczych z dziećmi, specyficzną iskrę zapalną ich wyobraźni, ale w większości odfrunęli od niej daleko. Stworzyli swoje własne heterotopie Wrocławia, miejsca inne, różne – bodaj najdalej poszła w tym zadaniu Ilona Witkowska.

W cytowanym już powyżej *Słowniku symboli* Władysława Kopalińskiego odnajdujemy także takie rozumienie lustra: „dwoistość, rozdwojenie, ambiwalencja, odbicie, echo, bliźnięta; teza i antyteza”¹¹... wypisz, wymaluj Wrocław. Zapraszamy do lektury oddolnych, literackich scenariuszy przyszłości miasta.

10 M. Mendel, *Spoteczeństwo i rytuał. Heterotopia bezdomności*, Toruń 2007, s. 31.

11 W. Kopaliński, *op. cit.*, s. 205.

Wrocław na 13. piętrze

Magdalena Gruna

 Co się stało?

Jeszcze przed chwilą stała po środku wrocławskiego rynku. Był jasny, upalny, letni dzień. Przyszła tu razem z wycieczką swoich uczniów ze szkoły i zatrzymali się na chwilę przy fontannie. Grupa rozbiegła się na dwie strony. Jedna część przekrzykiwała się łapiąc mydlane bańki wydmuchiwane przez stojącego na szczudłach kuglarza, a druga tłoczyła się przy kamiennym obramowaniu z dziką pasją uwolnionych na chwilę spod nadzoru dzieciaków wychlapując poza cembrowinę zimne strugi wody. Jakby w przedziwny sposób musiały rywalizować z metalowymi wylewkami fontanny. Jak zwykle o tej porze roku cały Rynek był pełen kolorowych tłumów, gwaru, rozmów, odgłosów miasta i zapachów. Różnobarwne kamieniczki stanowiły doskonałe tło dla tej różnorodności. Poczula nagły dreszcz na myśl, że któreś z dzieci mogłoby zagubić się pośród turystów, a przecież za piętnaście minut mieli wracać do czekającego na nich autobusu. Ten dzień był bardzo intensywny i bogaty we wrażenia. Była zmęczona, ale i zadowolona. Zdążyli wiele zwiedzić i wiele zobaczyć. Pracowała w szkole w jednej z willowych dzielnic Wrocławia i w programie szkolnym była wycieczka, w czasie której uczniowie mieli poznawać zabytki i historię własnego miasta.

Przez wszechobecny gwar przebiło się nagle monotonne stukanie. Jakby wbijanie gigantycznych gwoździ.

– Proszę pani! – usłyszała za plecami znajomy głos. Odruchowo obróciła się i nagle stanęła twarzą w twarz z ogromną bańką mydlaną sunącą na nią w słonecznym blasku. Znieruchomiała śledząc piękno przelewającego się ku niej bezkształtu. W przejrzystej błonie pochyliły się ku niej w ukłonie fasady okolicznych kamienic, a jej własne niekształcone odbicie rozciągnęło się w pionie po mydlanej tęczy. Przymknęła oczy, czując zapach chemikaliów pachnącą mgiełką osiadający na jej twarzy. Otworzyła oczy. Ktoś musiał za nią stanąć albo chmura zasłoniła słońce, bo światło dnia nagle przygasło. Stało się ciemniej i ciszej. Gwar rynku rozplynął się w jednostajnym szmerze, a ona sama znalazła się nagle naprzeciw wielkiej mieniącej się tafli. W pierwszej chwili pomyślała, że to może kolejna bańka. Wyciągnęła przed siebie rękę, aby ją rozprysnąć, ale jej palce, zamiast zanurzyć się w miękką błonę, natrafiły na stabilną przegrodę i poczuła, jak opuszki rozplaszczają się o twardą powierzchnię. Przez kilka długich sekund trwała w absolutnym bezruchu, ale już po chwili przemknęło jej przez myśl, że to coś przed nią to gigantyczny ekran, a po chwili zorientowała się, że stoi naprzeciw wielkiego panoramicznego okna. Otaczająca ją przestrzeń zbiegła się dookoła niej, jakby wykonano ją z grubego foliowego worka, z którego nagle odessano powietrze. Nie było już wokół miasta, tylko skurczona nagle do rozmiarów dziwnej, obłej sali półmroczna przestrzeń, a to, co najpierw uznała za ekran okazało się podświetlanym delikatnym zimnym świtałem wielkim panoramicznym oknem, którego krawędzie gięły poza zasięgiem jej wzroku.

– Proszę pani! – powróciło echem, ale głos brzmiał jakoś inaczej. Jakby tłumili go warstwy tego obkurczonego worka.

Nie była sama.

– Jak to się nazywało, proszę pani?

– Co? – poczuła ruch swoich ust, ale i teraz nie poznała wydobywającego się z nich głosu.

– No, to coś w dole... co tam pod nami, tam! – jedna z otaczających ją istot wskazała pionowo w dół w czarną otchłań za ekranem. Stojące wokół pozostałe... kim lub czym były? Nie wiadomo, skąd dotarła do niej świadomość, że to wycieczka szkolna, z którą zwiedza Wrocław. Ale stojące wokół niej dzieci... Dzieci? Czują, wiedziały, że to „jej” znajoma gromadka, ale...

– Precel! – zapiszczał cienki głosik.

– Brecel, głupku!

– Jaki Brecel, Wrecel! Umyj sobie te rybie uszy!

– Proszę pani! Misiak mnie przeżywa! A sam ma tylko otwory słuchowe na czole! Wcale nie jestem gorszy!

Nawet odzywki dzieci były jakby znajome. Jednak tylko „jakby”. Detale różniły się, i to bardzo.

– To Wrocław, dzieci. Proszę o spokój. Nie Brecel ani Precel. Kiedyś miasto nazywało się Wratisławia, potem Breslau, ale już od dawna nazywamy je polską nazwą Wrocław. Znowu poczuła ruch swoich ust. Tym razem recytowały standardową formułkę informacyjną. Miała pełną świadomość, że to ona wypowiedziała te słowa, ale jednak przyszły jakoś niezależnie od niej. To jej wargi były ich źródłem, ale całkiem bez udziału jej woli. Co się działo? Głosy dzieci też były znajome, a równocześnie całkowicie obce. Dzieci.... W nagłym zrywie podniosła do twarzy obie dłonie, ale one, mimo że gwałtownie wyszarpięte, przypłynęły ku niej miękkim, cudownie harmonijnym ruchem. Jej ręce?! To nie były jej ręce. To były... Jakieś porośnięte woalem migotliwej płetwy rękopodobne członki zakończone długimi niebieskimi palcami. Westchnęła rozpaczliwie głęboko... Miała wrażenie, że oddycha gęstą mieszanką czegoś, co zalewa jej płuca lepką mazią, ale mimo to nie dusi. Szyba okna lśniła w półmroku, a na jego powierzchni widziała blade odbicie czegoś, co musiało stać w zajmowanym przez nią miejscu, czyli bardziej długą niż smukłą, wysoką postać w przedziwnej fryzurze z odkrytej płaszczem czegoś, co zdumiewająco przypominało płetwy grzbietowe. I nagle poczuła, że ta istota coś czuje, bije jej serce i ma swoje całkiem odrębne od niej życie, a jednak zawiaduje jej ciałem. Pokrowcem na jej świadomość. Jestem w jakiejś grze – przemknęło jej przez myśl – a to mój awatar. I nagle tożsamość tej istoty przeniknęła do jej myśli potokiem informacji. To było jak zderzenie z pędzącym pociągami. Nie można się mu w żaden sposób przeciwstawić – można tylko dać się ponieść pędzącej fali...

Czują pot na plecach, wilgoć sklejącą jej włosy i napięcie w mięśniach i dobrze znała

to uczucie, bo towarzyszyło jej od kiedy po raz pierwszy powróciła z wycieczką szkolną w to miejsce. To normalne, zawsze miała to uczucie kiedy mijali granicę miasta. Była dzieckiem traumy i mimo upływu lat nie potrafiła pozbyć się natrętnych wspomnień.

– Proszę nie podchodzić do wyjścia! – usłyszała swój głos, kiedy kącikiem jednego oka zarejestrowała, że część wycieczki zaczyna w niekontrolowany sposób przemieszczać się w kierunku śluzy, za pomocą której można było wydostać się na zewnątrz statku.

Program wycieczki przewidywał wyjście na zewnątrz kapsuły podwodnego wycieczkowca, ale dopiero, kiedy osiadzie na dnie. A to jeszcze potrwa. Plan wycieczek był stały i od lat nie ulegał zmianie. Nie za bardzo było to też możliwe, bo tylko ta trasa była objęta ścisłym nadzorem konserwatorskim i tylko tam można było zapewnić dzieciom pełne bezpieczeństwo. Mieli opaść nad miasto na południe od pozostałości Sky Tower, przepłynąć nad dawnym centrum biznesowym, potem nad doskonale zachowanym Rynkiem, aby następnie przemieścić się nieco na północ nad Ostrów Tumski z jego legendarnymi, pseudo-gazowymi latarniami i łukowym mostem z tysiącami zardzewiałych bezimiennych kłódek, którymi kiedyś upamiętniano aktualne miłości. Potem statek opadał na dno na dawnej Wyspie Piaskowej i każda grupa samodzielnie przemieszczała się do Rynku. To była zawsze najbardziej atrakcyjna część wycieczki, najciekawsza, ale dla niej najtrudniejsza, choć upragniona. Była wnuczką jednej z tych niewielu osób, które pamiętały dawny świat i dawny Wrocław. I to bolało. Oczywiście nie pamiętała wszystkiego. Ale znała opowieści babci, a od kiedy odkryto, że pamięć przodków zostaje wpisana w kod genetyczny potomków i ten element pojawił się w indywidualnych terapiach, musiała też przepracować jej lęki. Może kiedyś nazwano by to problemami z nastrojem. Ale nie teraz. Ta pamięć bolała. Bolała, choć przecież, gdyby świat nie uległ przemianie, nigdy nie dożyłaby swojego wieku. Teraz wszystko było inne. Miała prawie 140 lat, a nadal była młoda. Oczywiście z pewną zazdrością patrzyła na swoich uczniów. Szkolne podróże do Miasta Początku Przemiany były rytuałem, jakiemu od lat poddawano wszystkie kolejne roczniki. Żadne z jej podopiecznych nie miało już problemów z funkcjonowaniem w środowisku, a jako osoba o parę pokoleń starsza miała pełną świadomość, że każde z nich poradzi sobie na zewnątrz znacznie lepiej od niej. Dzięki postępowi technologii i nauki mieli ciała wyposażone w znacznie więcej ewolucyjnych dostosowań. Zazdrościła im serdecznie, patrząc na te połyskujące z boku głów skrzela, które ona musiała sobie wszczepić za ciężkie pieniądze. Zresztą wystarczył jeden rzut oka, aby rozpoznać, które z dzieci są z rodzin, które było stać na profesjonalne modyfikacje genetyczne, a które musiały sobie radzić same i domowymi metodami starały się wymóc mutacje. Te pierwsze, oprócz zgrabnych rąbek, miały pięknie rozwinięte płetwy, wyrastające z tego, co u ich przodków było tylko plecami. Te drugie nie wyglądały już tak dobrze, bo samodzielne napromieniowanie za pomocą kupowanych w aptekach zestawów typu „Zrób to sam” nigdy nie pozwalało na całkowite osiągnięcie oczekiwanych rezultatów. Najlepsze, co można było powiedzieć o ich aparycji to to, że

wyglądały dosyć pokracznie z tymi nibynózkami i płetwami wyrastającymi z korpusów w najmniej oczekiwanych miejscach, ale cóż, takie było nieublagane prawo natury. Ewolucja zawsze preferowała lepiej dostosowanych – poziom dochodów już dawno zastąpił długość pazurów i zębów, choć niekoniecznie szedł w parze z czymś, co kiedyś nazywano inteligencją i człowieczeństwem. Ona sama należała jeszcze do pokolenia, które, aby funkcjonować, musiało zamiast mutacji zadowolić się operacjami plastycznymi, egzozskioletami, a potem już nanotechnologicznymi wszczepami, aby sprostać wymaganiom życia w zmieniającym się dynamicznie środowisku. Doskonale pamiętała nadęte rybie usta babci, tak modne w pierwszych latach po Przemianie, i jej narzekania, że choć może ze swoim ciałem zrobić prawie wszystko, to nikt z jej potomków tego nie odziedziczy. Ale wtedy był to tylko efekt ingerencji kosmetyczno-chirurgicznej. Teraz było inaczej. Nowe pokolenia ingerowały w swoje ciała i umysły, wierząc, że robią to dla dobra przyszłych pokoleń. Udoskonalenia były na porządku dziennym. Teraz człowiek musiał być doskonale dostosowany i wytrzymały. „Wszyscy jesteśmy bio-maszynami – czaruj swoim pięknem” – przeczytała ostatnio w błysku informacyjnym reklamującym usługi jakiejś kliniki reklamującej swoje usługi z zakresu bio-modyfikacji. „Żyjemy w maszynowym świecie bio-robotycznych ludzi – nikt nie zaspokoi twoich potrzeb lepiej niż stworzony przez nas surogat” – powtarzały natrętne slogany. Ten, kogo było na to stać, zamawiał i hodował swojego idealnego partnera. Nie potrafiły jeszcze żyć zbyt długo więc po pięciu latach były do utylizacji, ale i tak były oznaką statusu i marzeniem wielu. Podobnie jak robotyczne ciała.

Od kiedy resztki ludzkości przeniosły swoje siedziby pod wodę, wiele się zmieniło. „Jesteśmy inteligentni – jesteśmy dostosowani” – wypisywano wtedy na umieszczonych wszędzie memach. Też nad tym pracowała. Też była dostosowana, ale wystarczało, aby zamknęła swoje cudownie obłe rybie oczy, żeby powracały sny – jak jej wytłumaczył psycholog – odziedziczone po babci. Obraz dawnego świata, który nadal trwał w niej, a którego relikty miała teraz pod stopami. Nie znała go, ale czuła, choć czasem brakowało słów, aby nazwać odczucia. Babcia mówiła, że tamten świat był pełny zapachów i dźwięków. Trudno było w to uwierzyć, patrząc w cudownie malowniczą, martwą pustkę wodnej otchłani. W jej świadomości pojawiał się czas tuż przed przemianą, choć to, co realnie przeżyte przez babcię już na trwale stopiło się ze snami. Ale to przecież naturalne. I bez mieszania w to wszystko wspomnień przodków sny czasem pamiętamy lepiej niż to, co działo się na zewnątrz naszych ciał, tym bardziej kiedy są plastyczne i nasycone szczegółami. Może całe nasze życie jest formą snu – powracało zadawane przez filozofów pytanie – ale nie ono było teraz najważniejsze. Sny miała też jej babcia. Pojawiły się już na kilka lat przed Przemianą. Powracały i męczyły ją szczególnie jesienią, kiedy we Wrocławiu wiały silne zachodnie wiatry. Jeszcze wcześniej, w czasach Breslau, nazywano je wiatrami Meluzyny i uważano, że wyrwywają ludziom dusze. W czasach odradzającego się ze zgliszczy Wrocławia mało kto o tym wiedział. Znacze-

nie tych podmuchów pamiętali już tylko historycy i pasjonaci miejscowych opowieści. Oczywiście nikomu też niczego już nie wyrwywały. Skutecznie walczone z ich wpływem za pomocą antybiotyków i aspiryny. Poza tym pojawiła się wątpliwość, czy można komukolwiek wyrwać coś, co już przestało pojawiać się już nie tylko w uczonych rozmowach, ale i w potocznym słownictwie. Kto zwracał sobie głowę sprawami duszy? Co to w ogóle było? Teraz wiatry łączono z corocznymi epidemiami grypy oraz zgonów wśród młodych i starych, zawsze wśród tych słabszych. Cała reszta mieszkańców Wrocławia uważała te podmuchy za zwykłą klimatyczną uciążliwość i tylko w niektórych ich podmuchy jęczały śpiewną tęsknotą. Ale do tego trzeba było być nastolatkiem, albo mieć problemy z kontrolą nad emocjami.

Babcia zamykała oczy i opowiadała, jak z szumem podobnym do wody leżącej z odkręconego kranu te podmuchy płynęły korytarzami ulic, zrywając z gałęzi jesienne liście, jak dusze właśnie. O ile liście są duszą drzew, a przecież nikt nie wie, gdzie jest dusza. Ale bez liści drzewa nie szepczą. Są ciche i martwe. Wiatry spadały na miasto, kiedy ono całe tonęło w woalu królewskich barw – czerwieni, purpury i wszechobecnego złota – i odzierały je z kolorów, zostawiając na pastwę mgieł i mroku. Mimo nostalgicznego piękna, wiatry miały w sobie coś złowieszczego milczącego. Nie znała ich w naturze, ale dźwięczał jej w uszach ten świst, czuła chłód i miała ochotę schować się pod ciepłą kołdrą objęć matki ze swoich nie-swoich wspomnień. Odziedziczony sen też pamiętała doskonale, bo powtarzał się wiele razy. Stała w mieszkaniu na poddaszu, w spokojnej eleganckiej dzielnicy, na Krzykach, w dużej poniemieckiej willi, gdzie nic nie było własne, a wszystko należało do zgryźliwych staruszków, właścicieli domu. Okna sięgały od sufitu do podłogi i poprzez strzelisty przestwór spoglądała na ulice w dole, którymi wiatry niosły opadłe liście, śmieci i stare foliowe worki. Trwało to jakiś czas, a potem asfalt jezdni zaczynał lśnić, szumieć i falować. Wyglądało to, jakby ktoś rozwijał w całym mieście wodny chodnik. Bryzgający i mieniący się. Początkowo czarny i błyszczący, z każdą chwilą stawał bardziej skłębiony, jakby ciemne runo porastało go w szalonym tempie, aż w końcu okazywał się strumieniem wody. Burzliwym, brudnym, niszcycielskim. Wody podnosiły się gwałtownie do poziomu piętra pod poddaszem, cały dom falował i trzeszczał, ona klęczała wczepiona rozpaczliwie w słup powały, a to, co dalej nastąpiło... Nie wiedziała, czy to był jej sen, czy wspomnienia babki, czy jedno zastąpiła drugim, czy też oba zlały się w jedno. O ile grozę snu gasiła miękkość objęć matki, to rzeczywistość, jakiej musiała doświadczyć babka nie była ani tak miękka, ani kojąca i nie dała się odgonić w żaden sposób. Raz zaistniała, objęła wszystko w swoje posiadanie, zasysając w siebie jak w otwór gębowy potężnej kałamarnicy. Pędzące ulicami miasta strumienie były gigantycznymi mackami potwora, który zagarniał w siebie wszystko i chłoniął w ciemną, mokrą nieskończoność. Ogluszający krzyk wzbijał się z Krzyków prosto w ołowiane niebo. Przepowiednia zawarta w nazwie spełniła się w jednym gigantycznym zryw. Miasto przestało istnieć i nastąpiła cisza.

Było coś bezlitośnie prawdziwego w tym porównaniu do wodnego potwora. Kiedyś, kiedy mieszkała w jednym z podwodnych miast na północy, widziała z bliska oko gigantycznej kałamarnicy i przypominało jej ono martwe słońce. Wielkie, czarne pośród błękitu gigantycznej tęczówki i niewzruszenie odległe za pancernymi szybami, do których przywarła morska istota. Na wiele lat świat zamarł opleciony falującym nieboskłonem. W jej śnie-wspomnieniu wody zawsze podchodziły do podłogi mieszkania-poddasza i nie sięgały wyżej, choć przelewały się nad dachem. Kiedy sen już nie był dłużej snem, ale stał się rzeczywistością, nurt po prostu porwał ze sobą całą konstrukcję. To wszystko działo się zbyt szybko, aby był czas na refleksję. Wieżowce, biurowce, kamienice, kościoły, centra handlowe, dworce, zakłady i fabryki, domy i altany – wszystko ginęło w mokrej otchłani. Niewielu ocalało i każdy z nich niewiarygodnym cudem. Jakby byli wybrańcami losu i Nieba. Tak ich zresztą później nazywano.

Ona i jej najbliżsi mieli niewiarygodne szczęście. Tego dnia byli w mieszkaniu, a nadbudowane nad starym niemieckim domem dwukondygnacyjne poddasze było całkiem niezależną, samonośną konstrukcją pozbijaną bardziej solidnie niż z rozmysłem z drewnianych bali i płyt. Dom, na którym budowano poddasze był stary, więc kiedy je wznoszono pojawiła się obawa o wytrzymałość ścian. Zatem, aby ciężar rozłożyć możliwe równomiernie, stężono je dokładnie tak, jak zszywa się stare pluszaki – na wskroś, mocno, niemi i sznurkami. W efekcie stało poddasze na domu jak czapka na głowie, opierając się na nim własnym ciężarem. Przeszyte stalowymi kotwami, okręcone taśmą bednarską, odporne na wstrząsy i twarde jak kostka origami. Nie zakotwiczone go też w starych murach zbyt solidnie, bo wierzono w siłę stabilizacji dzięki równomiernemu obciążeniu. Zatem, gdy wody podniosły się zalewając wszystko dookoła, po prostu wyrwały lekkie kotwy i uniosły poddasze w całości jak tratwę. I to tratwę z całą spiżarnią zapasów, dzięki obsesjom matki. Było tam mało mebli, bo kosy pod czterospadowym dachem tworzyły nieustawną piramidę. Za to w masie zakamarków było pełno szafek i spiżarek. Dzięki temu zdołali przeżyć. To, co potem nastąpiło było mgłą wspomnień i snów. Po wielu dniach, kiedy wody nieco opadły, tratwa osiadła w mule u wybrzeży czegoś, co było stałym lądem, a kiedyś musiało być szczytami gór. Przeżyli wszyscy w tratwie. Ona, brat, mama. Resztę tego, co było ich życiem przykryły wody nad Wrocławiem.

– Miasto, które widzimy pod nami to Wrocław. Kolebka przemiany – usłyszała swój głos śpiewnie artykułujący okrągłe frazy. Przemiany? Już dawno nie mówiono o katastrofie, ale właśnie o „przemianie”, o czymś pozytywnym, z czego narodziło się Nowe.

Bytująca gdzieś wewnątrz tej dziwacznej istoty zwykła ludzka nauczycielka, jeszcze niedawno stojąca na tonącym w słonecznym blasku wrocławskim rynku, poczuła bezcielesny szloch w głębi swego jestestwa. Tak była tu nadal. Była maleńka iskierką w tym obcym ciele, w statku podwodnym, w głębi jakiegoś akwenu całkiem obcego świata. Miała już dosyć. To był jakiś koszmar.

– Przemiana zaczęła się właśnie tutaj, we Wrocławiu. To tu pękła skorupa ziemską. Stąd wody rozlały się na cały świat i wszystko, ale to wszystko, uległo zmianie. Jak wiecie, na powierzchni zostały tylko skrawki ładu, a ci, co przetrwali dali początek nowej cywilizacji. Przetrwali tylko najsilniejsi. Osoby najlepiej przystosowane. To im zawdzięczamy nasz obecny świat. To oni wiedzieli wcześniej, co ma się stać. Przygotowali się wcześniej i dzięki nim cywilizacja dokonała tak gigantycznego skoku w swoim rozwoju. Wody, które zalały Wrocław stały się wodami płodowymi nowego świata – gładkoskóra istota recytowała z przekonaniem, a nawet przejęciem jakby nie była świadoma oczywistych sprzeczności tych słów ze swoimi odczuciami – to dzięki temu jesteście, kim jesteście. To miasto to kolebka naszej obecnej cywilizacji.

W gigantycznej szybie odbijały się stojące tuż obok małe istoty o cudownie okrągłych oczach wachlowanych rzęsami wyrastającymi z mieniających się tęczowo powiek. Już teraz miały długie i smukłe ciała zapowiadające obłe piękno, jakie w przyszłości osiągną. Już teraz z ich wydłużonych jak u starodawnych lalek czaszek wyrastały grzywy cudownie gęstych włosów, zgodnie z ostatnią modą, przeplatając się z welonami delikatnych pletw, a przecież przed nimi setki lat bytowania w tym nowym świecie... Iskierka obcej świadomości lkała bezgłośnie, czując lży zbierające się w oczach obcego ciała.

Podwodna kapsuła przesuwiała się z wolna nad umarłym miastem. „Zwiedzajcie Podwodny Wrocław”, jarzyło się w dole błękitnym neonem. To było już historyczne hasło. Miasto urzekło swoim pięknem. Koronki gotyckich maswerków wyłaniały się mroku kamiennymi kwiatonami, strzelając w górę ku niewidzialnej powierzchni wód. Smocze głowy rzygaczy wypływały kaskady delikatnego światła. Kapsuła sunęła nad pieczołowicie odrestaurowanym miastem, jak powietrzna bańka. Delikatna muzyka sączyła się z głośników, aby nie przeszkadzać zwiedzającym w kontemplacji.

– Widać! Widać! – rozentuzjzmowane dzieci wskazywały sobie majaczące w dole zarysy budowli.

Mimo że ochrona konserwatorska obejmowała cały obszar Miasta, to przecież podwodna konserwacja wymagała takich nakładów, że obejmowała tylko kilka najważniejszych obszarów. Ograniczono ją do terenów Rynku, wąskiego pasa Starego Miasta i Ostrowia Tumskiego. I to były te fragmenty, które miała poznać i zapamiętać młodzież. Cała reszta z każdym rokiem ginęła pod coraz grubsza warstwą podwodnych osadów. „Podziwiał Podwodny Wrocław”, zamrugał fiolet delikatnego staromodnego neonu unoszącego się pośród wód w dole. Było co podziwiać. Od lat restaurowano relikty dawnej świetności, z wielką pieczołowitością starając się oddać realia dawno minionej epoki. Zapalone na podwodnych ulicach lampy imitowały oświetlenie, jakie kiedyś wycinało z mroku miasto.

– Precel, Brecel, Wrecel! – piskliwy głos niestosownie przeciął ciszę.

– Spokój! – krzyknęła, dla wzmocnienia perswazji uderzając w podłogę obutą w eleganckiego pletwo-butą nogę. Kiedy krzyczała, jej głos miał w sobie ten uznawany ostat-

nio za absolutnie seksowny wibrujący ton, jaki pobrzmiwał w gwizdach delfinów. Dzieciaki umilkły jak zaczarowane. Zdawała sobie sprawę z urzekającej mocy tych wysokich tonów, więc nie zmieniając specjalnie tonacji, kontynuowała:

– Miasto, o jakim się dzisiaj uczymy, to nie żaden precel, ale Breslau, czy też Wrocław... Miasto nosiło wiele nazw, ale wszystkie brzmiały podobnie.

– A która nazwa była prawdziwa? – wpadł jej w słowo mały, rudy stworek.

– Dobre pytanie, Jasiu – zmrużyła cudownie regularne brwi – ale pozwól, że opowiem, a potem będziesz mi zadawał pytania, dobrze?

– Dobrze – grzecznie zgodził się kandydat na prymusa. I dodał – i to było jedyne miasto na świecie wtedy?

– Oczywiście, że nie jedyne – zachnęła się – ale tamte były całkiem inne, no i te inne były jednak mało ważne.

– A dlaczego mało ważne? – tym razem zapytało ją urocze zielonkawe stworzonko o gigantycznych różowych oczach lalki. Pytanie było zadane tak słodkim głosem, że nie mogła go zignorować. Tym bardziej że miało bardzo dobrze sytuowanych rodziców.

– Czasem dzieje się tak, że nie to, co największe lub najbogatsze jest ważne w pamięci pokoleń, ale to, co najbardziej wyraziście zapisze się na kartach historii. A teraz proszę o ciszę, poczekajcie aż skończę. Odetchnęła i wróciła do poprzedniego tonu.

Istota wewnątrz niej łkała już tak głośno, że sama dziwiła się, jak to ciało może nie słyszeć tego płaczu.

– Miasto miało wiele nazw, bo nikt nie znał tej właściwej. Zapomniano ją dawno. Wszyscy wiedzieli, że było stolicą krainy podobnie jak ono nazywanej wieloma nazwami, z których wszystkie pochodziły od słowa ‘śluz’, oznaczającego, jak wiecie, coś mile mokrego i wilgotnego. I dokładnie tak było. Ziemia tam były podmokłe i nabrzmiałe wodą. Sercem tej krainy była dolina rzeki, w której zakolu, na kilku wyspach, powstało Miasto. To tam się wszystko zaczęło.

Dzieci siedziały zasłuchane. Generator atmosfery spowodował, że powiał lekki wiatr i ich wpatrzone w nauczycielkę oczy zalśniły w blasku sztucznego księżycy szklistym błękitem. Giętke polimerowe panele, na których stali zadrżały lekko. Coś musiało zmarszczyć bezkresny dookólny błękit. Jej zadaniem nie było opowiadanie historii, jaką każdy mógł pobrać z zasobów sieci, ale nadanie sensu tym strzępom informacji, jakie każdy z nich już posiadał.

– Miasto leżało w dolinie. Dolina to takie coś jak zagłębienie pomiędzy falami. Wtedy suche łądy zajmowały znacznie większy obszar ziemi niż po Przemianie. Niedaleko na południe od miasta znajdowała się Góra. Miasto od zawsze słynęło z tego, że jest szczególnie. W istocie nikt nie wiedział za bardzo, na czym ta szczególność polega. Czasem była to szczególność zła, a czasem dobra. Powtarzano, że nie jest dobrze mieszkać tam za długo, bo wtedy wilgoć wsącza się w kości i zaczynają one boleć, a melancholia zżera serce. Tym, co było tam szczególne to ów dziwny podmokły nastrój. A wilgoć była wszędzie.

Od bluszczy bujnie porastających miejskie cmentarze, przez rosę na zieleniących polach od mchów i pleśni dachówkach, po ściany kamienic. O dawna też miasto uważano za magiczne. Mówiono, że to nie ono samo, a wpływ Ślęży – pobliskiej świętej góry z jej starożytnymi miejscami kultu, czyli z centrami energetycznymi, całym zastępem legend i cudów. To siła wierzeń tych ludzi nasączała je mocą. Ślęża jest specyficznie zbudowana pod względem geologicznym. Łatwo to zobaczycie na mapach. Całe jej południowe zbocze to skały zasadowe czarne, magmowe, bazalty, a wszystko na północy to kwaśne pod względem chemicznym kwarcy, granity i kryształy. Nic więc dziwnego, że miejsce ich styku to granica między białym i czarnym, ciepłym i zimnym, więc tam powstały pradawne świątynie i działa się cuda. Miasto było stolicą Śląska, krainy mokradeł, a jego sercem była Ślęża. Jednak z czasem zaczęto się domyślać, że jest odwrotnie – że to Ślęża jest satelitą Wrocławia, a nie on jej. Najpotężniejsze bowiem miejsce mocy, stanowiące absolutne przeciwieństwo tego z Ślęży, znajduje się właśnie we Wrocławiu. O ile Ślęża była ogniem, to Wrocław był wodą. Miasto zawsze było mokre. Ale ta woda była dla niego życiem. Kiedy po wielkiej wojnie zwanej drugą światową do miasta wprowadzili się nowi mieszkańcy – starych porwał ze sobą odpływ fal historii – zastali wiekowe kamieniczki z piwnicami bez podłóg, za to pełne szlamu z wysokimi na metr słupami kamiennymi stojącymi pośrodku pomieszczeń i zachodzili w głowę, co to. A ponieważ nie umieli sobie tego wyjaśnić, a denerwowała ich woda w piwnicy, zatem po prostu wylali posadzki betonem. Oczywiście wszystko solidnie uszczelnili. W piwnicach nie było już wody, zamiast tego ściany domów zaczęły pękać... Zanim jakiś stary mądry inżynier wytłumaczył nowym właścicielom, że domy celowo nie miały podłóg, aby podnoszące się lustro wód podziemnych nie zagrażało fundamentom, a kamienne słupy to po prostu ścieżki do poruszania się w piwnicach w czasie, kiedy stoi w nich woda – to wiele pięknych domów niszczało i nadawało się tylko do rozbiórki. Jeszcze wiele razy zdarzało się, że kiedy wznoszono najbardziej nowoczesne budynki na terenach doskonale przebadanych pod względem geologicznym, to nagle w czasie budowy pojawiała się woda w piwnicach, mimo ton zbrojeń i uszczelnień. Miało to miejsce szczególnie w czasie budowy tych najwyższych, najbardziej dumnych budowli z „tower”, czyli „wieża”, w nazwie. Pamiętajcie, jak nazywały się te budowle?

– Sky Tower! Wieża Nieba!

– Srebrna, srebrna jak śledź! – przekrzykiwały się dzieciaki.

– Tak, to była Silver Tower – wytłumaczyła.

– Millenium Tower!

– Doskonale. Niedługo przed Przemianą w mieście zapanowała moda na nazywanie budynków „tower”, czyli „wieżami”. Ciekawe, prawda?

Po dotarciu nad Ostrów Tumski, kapsuła zaczęła łagodnie opadać w dół. Nie był to ruch prostoliniowy, a odbywał się po zwięzającej się stopniowo spirali, tak aby można jak najwięcej zobaczyć. Im niżej opadali, tym wyżej rosły wieże średniowiecznych budowli. Od-

restaurowane latarnie żarzyły się ciepłym światłem. Lśniły sztucznie nabłyszczone bruki. Niektóre z kamieniczek również wyglądały na zamieszkane. Koronkowe firanki falowały w woskowym świetle sączącym się zza uchylonych okien. Aby zapewnić symulację dawnego wyglądu koryta rzeki, na wysokości niegdyśszego lustra wody rozpięto coś w rodzaju gęstej siatki z lustrzanych włókien. Kiedy opadali na dno, kapsuła zmieniła zewnętrzny wygląd z przezroczystej bańki w staromodny, pomalowany na biało statek wycieczkowy z rodzaju tych, jakie kiedyś cumowały przy bulwarze na Wyspie Piaskowej. Kadłub osiadł miękko na rozpiętej na miejscu dawnej Odry powierzchni, która opłotła go zaraz mocującymi włóknami. Każdy uczestnik wycieczki ubrał na szyję specjalne urządzenie do komunikacji podwodnej, a ci, którzy potrzebowali, również inne niezbędne biotyczne usprawnienia. Wycieczka wyszła ze statku po swoistego rodzaju trapie choć rzecz jasna była to czysta zabawa, bo nikomu coś takiego nie było potrzebne. Wszyscy przełączyli swoje ciała w tryb funkcjonowania pod wodą, choć nie dla wszystkich było to równie naturalne środowisko. Od kiedy reklamy nawoływały „Inwestuj dla dobra swoich dzieci. Najlepsza inwestycja to twoje geny – nie skradnie ci ich żadna inflacja!”, a ludzie zrozumieli, że jednego dnia świat potrafi się zmienić całkowicie i utracą absolutnie wszystko, w czym dotąd upatrywali swego bezpieczeństwa, kto mógł, zaczął inwestować w swoje ciało i geny. Tylko ono było tym, co nie tylko mogło zagwarantować przetrwanie, ale gwarantowało przetrwanie potomkom. Dopóki żyli, było z nimi. Nie tylko z nimi, ale było NIMI, bliżej niż cokolwiek, bliżej niż ktokolwiek ukochany i najbliższy przyjaciel. A tylko to się liczyło. Ciało. Możliwie usprawnione, doskonale, wiecznie młode, naszpikowane najbardziej wyrafinowaną elektroniką. Nad głowami wycieczki przemknęła ławica maleńkich rybek migocząc w woskowym świetle podwodnych latarni.

Znaleźli się na historycznym bulwarze pośród imitacji roślin na trawnikach z białym żwirem pod stopami. Statek zaczął powoli wygaszać silniki. Przed nimi najbardziej fascynująca część wycieczki. Teraz mieli przejść na Ostrów Tumski, a stamtąd do Rynku.

– Proszę nie rozbiegać się na boki i zachować ciszę. Pamiętajcie, że jesteście w miejscu historycznym... – zdążyła powiedzieć nauczycielka, zanim oślepił ich potężny błysk. Nawet pod wodą można doświadczyć hałasu, jednak będzie to raczej odczucie zderzenia z falą. Tak się stało. Statek niemal położył się na burcie, a oni upadli poprzewracani jak zabawki. Znaleźli się nagle w kręgu bardzo jasnego światła wycinanym z przestrzeni przez słupy promieni emitowane z potężnych reflektorów. Bardzo staromodnych i bardzo regularnie ustawionych w koło reflektorów. Jakim cudem nie zdążyli ich wcześniej zauważyć?

– Uwaga! Uwaga! Skażenie! Stop! Jesteście aresztowani! – dobiegł skrzeczący metalowy głos skądś spoza granicy światła.

– Ale, ale... eeee! Nie, pomyłka...! – nauczycielka jako pierwsza uniosła się na kolana, bezradnie machając przednimi kończynami

– Jesteście aresztowani! Uwaga! Wycieczka jest skażona. Najwyższy poziom energo-ryzyka. Wszyscy muszą zostać przebadani.

Z ciemności wyłoniły się niewielkie metalowe postacie. Dziesiątki małych, bardzo zwa-wo uwijających się figurek. Żadna nie miała więcej niż pół metra. Wszystkie były lśniące jak świeżo polerowane. Każda miała na głowie spiczastą czapkę, fikuśny kubraczek i buciki z cholewkami. Poruszając się lekko i zwinnie, istoty zaczęły się krzątać pomiędzy uczniami. Każda miała w łapkach drewnianą słuchawkę w kształcie dziesiętnastowiecznego stetoskopu i pospiesznie, acz z dużą wprawą, osłuchiwała nią najbliższego z ogłuszonych wycieczkowiczów. Jedna z istot przypadła do nauczycielki i przyłożyła przyrząd do jej odnóża. Nauczycielka chciała go strzepnąć, ale słuchawka przysłała się do jej gładkiej skóry, a malutkie łapki trzymały nadspodziewanie silnie. Żadna z istotek nie pozwoliła sobie na dotknięcie przybyszów inaczej niż owym narzędziem, jakby naprawdę musieli na coś uważać.

„Jakie natrętne bio-roboty metalizowane” – pomyślała nauczycielka z irytacją, ale meta świadomość w jej głowie sprzeciwiła się gwałtownie. – Toż to krasnale! Wrocławskie krasnale, ty niedouczona fładro! – wykrzyknęła mentalnie, może zbyt głośno, bo nauczycielka wytrzeszczyła oczy, słysząc myśli w swojej głowie, a stworek nazwany krasnałem wyprostował się gwałtownie. Ciesny pokrowiec, w jakim się znajdowała znieruchomiał zupełnie.

– Ratunku! Ratunku! – wrzeszczała iskra duszy, jak potrafiła najgłośniej.

– Tutaj! Tutaj! Jest! Mamy to! – zawołał metalowy maluch do pozostałych.

W jednej chwili dołączyła do niego falująca gromada pozostałych, które obskoczyły ją jak ławica drobnych rybek unieruchamiająca wieloryba. Zachwiała się bezradnie jak szmaciana lalka.

– Do Majora z nią! Do Majora! Do Majora!

– Tylko ostrożnie! Ostrożnie! Nie dotykać skóry!

– Uważaj! Ajjjj!

Zarzucili na nią coś w rodzaju gęstej, dusznej sieci. Zapadła w ciemność.

Kiedy się otworzyła oczy, znajdowała się w półmrocznej sklepionej sali, całkiem pustej, jeśli nie liczyć twardego fotela, na którym ją ułożono i bardzo staroświeckiego biurka ze starą fabryczną lampką stojącą na blacie. Żółtawy snop wycinał z półmroku siedzącego na starym drewnianym krześle całkiem okazałych rozmiarów krasnala. Był na tyle duży, że jego obute w czarne lakierki nóżki niemal sięgały zakurzonej betonowej podłogi. Zakurzonej! Zatem nie mogli być pod wodą. Sam krasnal też mało przypominał tych widzianych wcześniej, bo nie był metalowy. Był najzwyczajniejszym bajkowym krasnałem z czerwoną czapką, zielonym kubraczkiem, długim nochalem, okrągłymi policzkami i wydatnym brzuchem zwisającym nad szerokim, czarnym pasem z błyszczącą, metalową klamrą.

Patrzył na nią świdrującym wzrokiem zza okrągłych szkieł druczianych okularów i spokojnie uderzał palcami w blat.

– Witam. Jestem Major – rzekł krótko. – Major, czyli po łacinie „starszy”, po grecku „archon” – wyjaśnił spokojnie.

Dźwięk jego głosu upewnił ją, że na pewno nie mogą być pod wodą. Zakrzuszyła się. Powietrze było wilgotne i gęste, ale to było powietrze. Poczula, jak jej płuca nadymają się gazem. Ubiegł jej pytanie.

– Tak, w mieście są komory powietrzne. Nie wszystko jest całkowicie zalane. Tu też trwa życie, no w naszym rozumieniu. Nieco inne niż to wasze u góry, ale też używamy tlenu.

– Aleeee... – poruszyła ustami nauczycielka. Meta świadomość zadrżała w radosnym oczekiwaniu. W końcu coś, co pamiętała ze swoich czasów. Jakaś forma żywej ciągłości nie będąca omszałym kamieniem ani ruiną.

– Witam, pani Beatko – krasnal zmienił ton. – Proszę się nie przejmować, odesłemy panią do jej ciała bezpiecznie. Tylko musimy was rozdzielić. Ja wiem, że nie może pani teraz ze mną rozmawiać, ale wszystko pani słyszy.

Iskierka duszy rozwibrowała niemal klaszcząc z radości. Ale jedynym, oprócz cudzej radości, co poczuła nauczycielka było swędzenie w nosie. Nie było to miłe uczucie. O co chodzi z tym Majorem i brzuchatym stworkiem? Czym były te krasnale?

– Do kogo mówisz? – bez ceregieli używała podstawowej formy. Przecież nie będzie nazywała bio-roboty „panem”. – Do kogo mówisz? – wyszeptła sinymi wargami. – Dlaczego nas zaaresztowano? Co z dziećmi? Czy to... coś we mnie? Czym ty w ogóle jesteś?

– Jesteś bardzo domyślna, a jednak mnie nie poznajesz? Jestem wrocławskim krasnalem. No, czymś takim, co pojawiło się kiedyś we Wrocławiu przed przemianą u schyłku lat 80. XX stulecia. Nazywaliście to Pomarańczową Alternatywą¹. Chyba z tęsknoty do pomarańczy, bo mało kto je widywał w tamtym czasie. Potem mówiono, że to krasnale obaliły komunizm. Może tak, a może i nie – zarechotał. – Ale potem, jak wszystkich bohaterów, przerobiono nas na szaro. He, he, nie dosłownie! Na metalicznie. Zrobiono z nas takie miejskie maskotki. Aż sami mieliśmy dosyć tej popularności. A z dziećmi wszystko w porządku. Wrócisz do nich i niczego nie będą pamiętać. Bo to w tobie jest właśnie skażenie. Ale to nic wielkiego. To się niestety zdarza czasami. To związane z tym, czym jest fontanna na Rynku Gołębim. Fontanna nazywana Zdrojem.

– Czym była chyba. Kiedyś. Przecież teraz to atrapa. Poza tym nie byliśmy jeszcze w Rynku – zdumiewająco trzeźwo zauważyła nauczycielka. Zaczęła już sobie przypominać, co czytała kiedyś o sztucznej legendzie o wrocławskich krasnalach. To był jakiś absurd. Przecież one nawet nie miały nic wspólnego z tym miastem. To był świadomy twór marketingowy.

– Czas.... – machnął ręką krasnal. – Czas i przestrzeń. Znowu te same pytania. Pamiętasz, co mówiłaś dzieciom o tej manii nazywania budynków we Wrocławiu „wieżami”, choć nie każdy z nich zasługiwał na to miano?

– Ale skąd...? Macie podsłuchy?

– Nie potrzebujemy ich – uśmiechnął się krasnal krzywo. – To znowu związane z tym, czym jest czas i przestrzeń. Ale do rzeczy. To nie był przypadek z tymi wieżami. To podświadomość. Do tego zbiorowa, bo nie ma innej w istocie. Ona nasycza formę bytem. A wiesz, dlaczego tak było? Nie, to nie moda – ubiegł ją, bo próbowała wejść mu w słowo. – To coś znacznie głębiej. Wrocław to miasto wody, które leżało w dolinie. Przeżywało kolejne powodzie. Wody powoli podnosiły się, ale jakoś tego nie zauważano. Jakby nigdy nie betonowano koryto rzeki i budowano na terenach zalewowych. Kiedy wznoszono Sky Tower, na placu budowy wytrysnęły podziemne strumienie. Oczywiście zatuszowano to. To samo było z Silver Tower – tam wody pojawiły się już w ukończonym garażu podziemnym. Też to ukryto, ale z trudem. Potem były inne miejsca, ale nikt nie przyjmował ostrzeżeń. Byle było pięknie i zabawnie. Dziwnym trafem to, co nazywano niekontrolowanymi pojawieniami się soczewek wód podziemnych występowało zawsze pod tymi tak zwanymi „wieżami”. Aż rozpoczęto budowę Mega Tower. Jakby nie wystarczało, że Sky Tower była już najwyższą wieżą w Polsce, to zaczęto się ścigać z Europą.

– Ale tej wieży nigdy nie ukończono! – tym razem skutecznie weszła mu w słowo.

– Jasne! Tak musiało się stać. Zapewne słyszałaś kiedyś o wieży Babel...

– Legenda – wzruszyła ramionami nauczycielka. Meta dusza poczuła się jakoś nie-swojo. Już miała dosyć tego ciała i jego dociekań i wspomnień.

– Pani Beatko, jeszcze chwila. Musimy sobie coś wyjaśnić, bo to może być ważne dla was wszystkich – łagodnie zwrócił się do niej krasnal. Chyba odczuwał jej nastroje w jakiś sposób.

Nauczycielka rozglądnęła się niespokojnie.

– Z kim rozmawiasz? Jest tu ktoś jeszcze?

– Pani Beatka – oparł się wygodnie w starym drewnianym krześle i zmrużył oczy. – Ale już niedługo.

– O... ona? – zawahała się nauczycielka, przewracając swoimi okrągłymi oczami.

– Aha – pokiwał krasnal głową – ona w tobie. Czyli wy dwie w sobie.

– Co??? A ty? Kim ty naprawdę jesteś?

– Hmm... – krasnal spojrział w górę i zaczął się drapać po głowie. Czerwona czapeczka przesunęła się na bok, odsłaniając efektowną łysinę, za to wypadły spod niej dwa przepięknie utrzymane, długie pejsy. Obie istoty w jednym ciele wzdrygnęły się nagle. Jedna z zaskoczenia, druga ze wzruszenia.

– To wrocławskie krasnale???? – wydarł się dwugłós z jednego gardła.

– A co? – eleganckim ruchem strząsnął sobie oba pejsy z ramion tak, że zwiślały mu aż do połowy brzucha. – Słyszałaś o tym, jak przed fontanną spalono kukłę Żyda? To nie było dla nas miłe... Tyle lat pracy, dzielnica 4 świątyń i nadal zero zrozumienia. Dno. Gorzej niż gdziekolwiek. – Krasnal spojrział na nią zimno zza porysowanych szkieł i lekko pochylił na bok głowę.

– Ale to było. Dawno temu. Eeeee...? To wy? To te krasnale wrocławskie...? Twór marketingowy? – zdumiała się szczerze. Każda nauczycielka oprowadzająca po Wrocławiu musiała orientować się biegle w mitach, religiach i tym podobnych bajaniach.

– No jasne, że my, a kto inny? – uśmiechnął się ironicznie. – A masz jakieś wątpliwości?

– Eeee... – zdeorientowana mrugała, wpatrując się w niego i nagle zaczęła dostrzegać ewidentnie charakterystyczne rysy. – To... to tak zawsze było? – machnęła przed sobą ręką bezradnie, jakby odczyniając jakieś uroki.

– No, oczywiście, a kto rządzi światem? – zarechotał. – Fajnie się przebraliśmy, nie? – mrugnął okiem.

– Eeee... To... więc.... kim wy naprawdę jesteście?

– To chyba jasne: kim zechcesz... Mówicie o nas często, że rządzą światem. A my jesteśmy zawsze tym samym: tym, za co nas aktualnie uważacie.

I nagle postać krasnala zaczęła rosnąć i rozciągać, aż zamieniła się w jaśniejącego nadziemskim blaskiem anioła. Nauczycielka podniosła do twarzy obie dłonie, kurcząc się odruchowo. Nawet w jej obecnym świecie mity miały swoją moc i już miała upaść na kolana przed cudownie pięknym zjawiskiem, kiedy niebiańska istota przedzierzgnęła się w pokracczego diabła z średniowiecznych ilustracji. Nawet nie zdążyła krzyknąć w przerażeniu, kiedy zobaczyła przed sobą niebieskoskóre indyjskie bóstwo, które zaraz stało się w dziewiętnastowiecznym pulchnym bankierem lypiącym na nią zza monokla. Rozbawiony, poprawił melonik i pociągnął z grubego cygara dmuchając na nią dymem, aby następnie przybrać wydłużoną postać typowego gadokształtnego kosmity.

– Chcesz dalej? Jesteśmy w pełni polimorficzni. Mogę być nawet uroczy.

Istota zamieniła się w ikoniczną postać boskiej Merlin Monroe, która z filuternym uśmiechem puściła w jej kierunku całusa, po czym pochyliła się i skurczyła, wracając do wyglądu dobrotliwego karzelka.

– Stajemy się metalowi, gdy idziemy pod wodę – wyjaśnił krasnal. – Jak widzisz, to dla nas żaden problem. Materia nie jest problemem. Problemem jest świadomość. I to wasza świadomość.

Znowu siedział za staromodnym biurkiem, a fabryczna lampa świeciła mu w twarz. Jednak teraz nie była pewna, czy aby lampa i biurko nie są jakimś rodzajem dodatkowych odnóży – bo przecież jeszcze sekundę temu ich nie było.

– Zatem... – nie była w stanie powstrzymać szcęknięcia zębami. Teraz nie byłaby w stanie wstać. Po prostu nogi odmówiły jej posłuszeństwa z wrażenia.

– Zatem jesteśmy dla was dokładnie tym, czym mamy być. Dla was. Was OBU. Dla pani Beatki też – zdmuchnął z twarzy pejsa, który znowu wypadł mu spod czapki. – Powiedzmy, że jesteśmy strażnikami równowagi. Niczym specjalnym. Archontami. Takimi zawiasami u drzwi, siłami natury. Uczymy was od wieków, choć to wyjątkowo fatalna fucha, bo ludzkość to dosyć tępy gatunek. Słyszałyście kiedyś o wielkiej odwrotności?

– O czym?

To pytanie musiało być głupie, bo krasnal się zapowietrzył. Kragły jak piłka brzuszek nadął się tak gwałtownie, że zabręczczała mosiężna klamra. Napięła się i już miała trzasnąć, kiedy z lekkim świstem wypuścił z siebie powietrze.

– Czego oczekiwać od innych, skoro ty, która masz uczyć nic nie rozumiesz. Zatem jesteśmy strażnikami równowagi. Harmonii pomiędzy tym, co wkleśłe i wypukłe, między tym co JEST i co jest-odwrotne. Białe i czarne, ciepłe i zimne, Jing i Jang. Wszystko musi się równoważyć. Góra równoważy dół, prawe równoważy lewe i oba stają się środkiem. Ten środek to miejsce waszego bytowania. Problem z tym, że wy strasznie lubicie taplać się w dole. A co to dół, wiesz? Słyszałaś o Tiamat, Tehom, Lewiatanie, czyli o wodach odwiecznego chaosu? A o Ahura Mazdzie i Angra Mainyu, czyli Arymanie, o Mesjaszu Jezusie i Diable, o Bogu i Szatanie, o Tym z dołu, którego musi pokonać Ten z Góry? No i pokonuje. Zawsze i wszędzie, bo inaczej nic by nie istniało. I w tym miejscu zawsze pojawia się Ewen Ha Shetijah. Ben-ben. Prapagórek. Miejsce Stworzenia. Jak Twardowski zamknął w butelce Diabła, to co zrobił? No, zakorkował ją! Ten Ewen – czyli kamień założycielski – to taki korek ziemi. To mniej więcej o tym samym. To takie najbardziej szczególne miejsce na Ziemi. Pisali o tym wasi uczeni, ale jakoś nikt ich nie czytał albo nie zrozumieliście. To miejsce bardzo ważne dla waszego świata. Taki punkt, z którego wszystko się zaczęło i gdzie wszystko może się skończyć. Przesmyk do czarnej dziury. Nawet ktoś z Wrocławia pisał o tym, ale chyba mało czytacie. A szkoda, bo czasem udaje się nam coś podsunąć nawet waszym doktorantom. No i jasne, że to nie fizyczny punkt, bo jak można mówić o przestrzeni w miejscu, gdzie nie ma już materii albo raczej gdzie jest ona w nieskończoności? Tam wszystko styka się z niczym. No i tak jest, że to wasza świadomość jest tym bytem, który ma balansować pomiędzy jednym a drugim. A to bardzo cienka granica. To nawet nie krawędź kielicha, a raczej balansowanie na ostrzu noża czy na moście z włosa, jak opisano w waszych mitach. Dlatego musimy wam pomagać. I jeszcze jedno, miejsce to nie tyle miejsce materialne, co to punkt w przestrzeni wyznaczany przez stan waszej świadomości. Dlatego jest mobilny i przemieszczał się po waszym świecie przez wieki. Wiele pisaliście o portalach energetycznych, ale mało kto zrozumiał, że to miejsce wyznaczane i budowane stanem waszej świadomości. To taka brama dla bytów i energii zewnętrznych. Brama bogów po waszemu. Bab Ilani po babilońsku. Bab-ilon po waszemu, ale już od dawna mało kto rozumie znaczenie tej nazwy.

– Poważnie??? – miała wrażenie, że jej oczy otwierają się tak szeroko, że za chwilę zetkną się z uszami. Ale ta cała sytuacja była tak bardzo bez sensu, że nie musiała się go doszukiwać w wypowiedziach tej istoty.

– Teoretycznie chwalicie się tym, że czytacie dawne księgi. Tam jest o tym, o studni otchłani. O tym, co zostało otwarte w czasie potopu. Już sobie przypominasz?

– Aha – coś jej zaświtało. – To wy to napisaliście?

– A wy spaliliście kukłę! – zaśmiał się niemiło. – Antysemitka! Po tylu latach i Przemianie! WSTYD! – wycelował w nią ostry palec. – Przepraszam, pani Beatko! Żartuję. No, coś ty! Wy, ludzie, pisaliście. Myśmy tylko pilnowali, abyście pisali, co trzeba. Ten portal może mieć wartość pozytywną i negatywną. Chodzi o to, aby był nakierowany na pozytyw, a wtedy właśnie piszecie, uczycie się szybciej i idziecie do przodu. Lub aby przynajmniej był zamknięty, bo kiedy zaczyna się uchylać, to w waszym świecie dzieje się źle. Wtedy już mało kto czyta, zaczyna się palenie książek. Rozumiesz już? Kiedyś ten punkt był w Babilonie, potem w paru innych miejscach, ale dla ciebie chyba ważne, że był również w Jerozolimie w świątyni zbudowanej tam przez Salomona. Zawsze tam, gdzie jest w danym czasie odnajdujecie specjalny kamień z pieczęcią Salomona, czyli znakiem gwiazdy Dawida, zatrzymujący wody otchłani. Wiesz, jak jest Babilon po hebrajsku? Bawel. A wiesz, jak to się zapisuje? W i B to identyczny znak. B od W odróżnia tylko obecność kropki w środku. Zresztą znak tej litery pochodzi z dawnego sumeryjskiego logogramu oznaczającego dom i świątynię. To ogrodzenie na zewnątrz to ściany domu w rzucie z góry, a kropeczka w środku to obecność bytu, czyli świadomość. Czyli byt – w tym wypadku człowiek – który jest po to, aby obserwować. W słowie Bawel jest ta kropeczka, tak jak kiedyś była w was świadomość znaczeń. Ale to z czasem to zanikło. Zaczęliście wszystko tłumaczyć niby racjonalnie i dopiero fizyka zwana przez was kwantową nakierowała was na właściwe tory. Ale i tak nad Einsteinem musieliśmy długo pracować nim to pojął. Kobiety są w tym lepsze od mężczyzn, dlatego użyliśmy jego żony, ale i tak wszyscy myślą, że to on wymyślił teorię względności. Mniejsza z tym. Litera B utraciła kropeczkę. Dom opustoszał. B stało się W. Z Bawel zrobił się Wawel. Oczywiście wasi uczeni znowu mieli wiele teorii, ale wystarczy sięgnąć do sanskrytu, aby się przekonać, że „wa” znaczy tam „woda”, a „wal” to „w” – co razem złożone daje określenie „w wodzie” lub „nad wodą”. Już nie tylko hebrajski, ale i sanskryt mówią wam to samo. Choćbyście chcieli zafałszować rzeczywistość, ona wyłazi z każdej dziury, w jaką ją wepchniecie i wali po oczach.

– Wawel? Masz na myśli ten Wawel w dawnym Krakowie?!

Spojrzała na nią z lekkim politowaniem, ale nie miała nawet czasu, aby się na to obrazić.

– A jakież inny? Dokładnie ten. Ten sam, gdzie mieli swoją siedzibę polscy królowie.

– Aha! I dlatego mieliście na Kazimierzu tyłu swoich...

Wycelował w nią wyprostowany palec.

– ...swoich uczonych. To fakt. Dobrze się z nimi współpracowało. Ty też kojarzysz, ale nie do końca. Jak widzisz, jesteśmy już coraz bliżej Wrocławia, czyli Bresławia. To miasto zawsze ściągało ku sobie ludzi otwartych na nowe idee. Heretyków i myślicieli. Wpływ Ślęży był bardzo ważny. Ciekawe, że od dawna unosił się nad nim duch świadomości zbawiania ludzkości. Miasto robiło wiele dla innych. To tam zorganizowano kongres kultury po wielkiej wojnie, który miał przemodelować myślenie intelektualistów, ale wszystko wychodziło jakoś krzywo. Chcieli dobrze, a szło jak po grudzie. Miasto

wykrwawiło się ze swoich zabytków, oddając je na odbudowę polskiej stolicy w geście zadośćuczynienia za szkody wojenne. I co z tego? Niewiele. Ciągłe taplało się w sobie samym. A świadomość nabrzmiewała. Wawel już nie był w Krakowie. Kiedy Breslau stał się Wrocławiem, przewędrował. Bo jest związany z językiem polskim. To jego wielka szansa i wielkie ryzyko. Jednak tu nie było ani wawelskiej katedry, ani Kazimierza. Nie miał kto korkować źródeł otchłani, które nasyczone świadomością, a właściwie jej brakiem, zaczęły przebijać na poziom materialny. A zasilano je ochoczo. Podchodziły coraz wyżej. Przecież o tym wiesz. Opowiadasz to dzieciom. Ale nie łączysz faktów. O tym wszystkim wiedziały tylko zaprzysiężone osoby. Aby nikt nie zauważył, że w mieście wytrysnęły nowe źródła i nie można nad tym zapanować, władze postanowiły ukryć kłopotliwy fakt i w jego sercu wybudowały fontannę. Piękną fontannę w postaci stojących tafli hartowanego szkła i tryskających na nie strumieni wody, na granitowych kamieniach. Wmawiano ludziom, że pracuje w obiegu zamkniętym. A to nie tak. Te wody tryskały skądinąd, z zupełnie innego poziomu. Takiego, którego nie da się zacopować najśmielszą inżynierią. Tylko najbardziej zaufani ludzie w magistracie wiedzieli, że fontanna nie jest zasilana z sieci miejskiej, ale jest prawdziwym źródłem. Aby nikt się tego nie domyślił, ukryto fakt nadając jej nazwę „zdrój” – niby na cześć aktualnego prezydenta, a tak naprawdę dlatego, że nie ma skuteczniejszego sposobu ukrycia kłamstwa niż nadanie mu pozoru prawdy. Kiedy mieszkańcy widzieli tryskające w centrum miasta strumienie i mówili o swoim „zdroju”, nikomu nawet do głowy nie przyszło, że właśnie tam bije serce otchłani i tryskają w górę słupy wód chaosu. Rok później miasto zalały wody wielkiej powodzi. To było nasze ostrzeżenie, ale nikt go nie zrozumiał, choć wyczuło strach i wyartykułowano go. W postaci naszych posązków, które miały być na niego lekarstwem. Metalowych krasnali. Nowej formy pradawnych apotropaionów, strażników pamięci i równowagi. Strach pod maską uśmiechu rósł, a wraz z nim liczba brązowych krasnali.

– A potem Mega Tower?

– Mega Tower i wyzwanie rzucone Europie.

Nauczycielka westchnęła głęboko. Teraz rozumiała. Opowieść w końcu zaczynała biec logicznie i wiązać się w harmonijną całość. Coś jej nagle zaświtało...

– W opowieści babki było też, że na ścianie jednej z kamieniczek w Rynku, jednej z tych najstarszych, była płaskorzeźba. Krzyż, figurka Jezusa, młotek i zestaw gwoździ, a wszystko z napisem „Zrób to sam”...

– Tak. Zrobiliśmy to razem z Getem. Znałem go dobrze.

– Ale potem ktoś potraktował to dosłownie. I niedługo przed Przemianą zniszczono dzieło. Ktoś przybił figurkę i podpisał „Zrobione”...

Krasnal patrzyła na nią swoimi ciemnymi, świdrującymi, semickimi oczami jak z dawnych kościelnych obrazów. Oczy było coraz większe i większe... Coś oderwało się od czegoś. Szum. Mgła. Pęd powietrzna i brak tchu.

Wraz z krasnałem zwanym Majorem unosiła się nad podwodnym miastem w mydlanej bańce.

– Takiego świata chcesz? – usłyszała w myśli.

– A mógł być inny? Taki los, nie mam na to wpływu. Nikt nie ma.

O mszale dachy przesuwały się pod nimi. To nie były dzielnice poddawane konserwacji. To był muł i ruiny. Nie było nic oprócz bańki i świadomości zawieszonych w jej wnętrzu.

– Jesteś pewna? Wiesz już, dlaczego to się tutaj zaczęło?

– Nie wiem. Nikt tego nie wie przecież. Są i będą na ten temat różne teorie.

– Jasne. Zawsze tworzycie wiele wyjaśnień, a kolejne pokolenia obalają je zastępując swoimi. Gwiazda Dawida to pieczęć studni otchłani i mistyczny znak bezpiecznej równowagi, połączenia góry z dołem, ale dla was to symbol gwiazdki z nieba...

– A jakie jest twoje wyjaśnienie? – wtargnęła mu w tok myśli.

– Ja nie formułuje teorii, tylko przekazuję informację.

– Skąd ta informacja?

– Ze źródła. A skąd niby? – roześmiał się.

– Pani Beatko! Pani Beatko!

Poczuła zimno na twarzy. Ból. Hałas. Twardość tego, na czym leżała. Materialność. Nagle jej świadomość rozpełzała się jak wewnętrzny ogień w pokrowcu zawłaszczanego ciała. Była w nim jak ręka w rękawiczce.

Ktoś oblał ją wodą. Światło, bardzo dużo światła i powietrze w płucach. Zachłysnęła się tym powietrzem. Ktoś podparł jej plecy i usiadła. Rynek. Ona. W swoim własnym cieple. Nie pod wodą. Nie w jakiejś bańce. Na Rynku Wrocławia. Wrocławia zalanego słonecznym światłem i zapachami. Wzięła głęboki oddech. Miała lzy w oczach. Oszołomiona w zachwycie poruszała palcami rąk i nóg.

– Upadła pani, ale już wszystko w porządku. Ale nas pani przestraszyła – paplała do niej nieznajoma kobieta podając jej torebkę. Nawet nie zauważyła jej gestu. Z niedowierzaniem i zachwytem podniosła rękę do twarzy. Była mokra. I jej włosy i jej ubranie. Czują na skórze powiew powietrza. Roześmiała się cicho. Kobieta zmieszała się lekko.

– Ach, przepraszam. Chcieliśmy panią ocucić i ktoś szybko pobiegł po wodę z fontanny. No, z tej tutaj obok. Jest dzisiaj tak ciepło, zaraz pani wyschnie. No, może woda nie jest zbyt czysta, w końcu to obieg zamknięty...

Przesunęła wzrok we wskazanym kierunku. To był Zdrój. Na szklanych taflach rozpryskiwały się pióropusze wody, tworząc tęczową mgiełkę.

– Jasiu! – wrzasnęła odruchowo, widząc jak jeden z jej uczniów pochyła się nad cembrowiną. Momentalnie zerwała się na nogi. Praca była jej powołaniem.

Roześmiany chłopiec przybiegł triumfalnie, wymachując trzymanym w ręku przedmiotem.

– Prze pani! Ale mi się udało! Ciastko komuś upadło na kamienie, a ja je wyłowilem! Nawet mokre nie jest! – W ręku trzymał lukrowany na biało piernik w kształcie regularnej sześcioramiennej gwiazdy.

Przez rozgwar i szum wody fontanny, od strony kościoła świętej Elżbiety, przebiło rytmiczne stukanie. Wzdrygnęła się spoglądając przez ramię.

– Co to?

– Ach, ktoś coś przybija do ściany. Pani torebka – nieznajoma wepchnęła jej w ręce plecak. – A czy to ważne, co tam tak stuka? Pani jest cała i zdrowa. To jest ważne.

„ręce wytarli
o liście”

Ilona Witkowska



Zaczęło się od napisów na murach „konfliktem nuklearnym w 2017 roku rozpocznie się apokalipsa św. Jana”. Przyszły śladem krzyży na drzewach i „kler won!” na śmietnikach. Było ich naprawdę dużo, mówię o wszystkich tych napisach, na pewno na Nadodrzu, ale zdaje się, że w całym mieście. Być może potraktowało to poważnie kilka osób wpływowych, albo naprawdę sporo średnio wpływowych. Dość, że nie uszło to uwadze pozostałych. Kobiety zaczęły powtarzać sobie z ust do ust: „Urodzę dziecko, przyjdzie zima, smog je zatruje, zaraz mi każą je do kościoła zanieść...”. Szeptali na korytarzach budynków biurowych i przystankach autobusowych ludzie obojga płci: „Mam już dość, chciałbym ręce wytrzeć o liście, przypomnieć sobie, że ptaki to nie są tylko gołębie i wróble...”. Pierwsi opuścili miasto ci, co tylko szukali impulsu, żeby zrobić sobie chwilkę przerwy od tego, co akurat wiązało ich i unieszczęśliwiało, jednocześnie będąc jedynym źródłem sensu: alkoholicy, pracoholicy, artyści, bananowa młodzież w okolicach trzydziestki, ci, co nic nie musieli robić i w związku z tym troszkę przesadzali z różnymi przyjemnościami, ci, co się ślizgali, bujali, byli zachwiani, zapomniani albo po prostu chętnie i łatwo przyswajali wszelkie mody.

Uniesieni nową chłopomanią mieszczenie początkowo rzucili się na podmiejskie wioski i „domkowiska”, szybko jednak poczuli niedosyt, chęć ekspansji, a raczej – o dziwo – wejścia w głąb, potrzebę, żeby dać się wchłonąć zieleni i wilgoci. Młodzi, wykształceni, obcy, a nawet zaprawieni w miejskich bojach ludzie, którzy do tej pory pewni byli, że jedyny sensowny kierunek migracji to coraz większe miasta, aż po Nowy Jork; że trzeba jeździć po świecie i korzystać, korzystać, korzystać z tego, co największe, bo większe to lepsze; że trzeba wszystko robić najbardziej: pracować, jeść i bawić się – szybko, szybko, szybko. Cała latami wywoływana zakłębiami klasa kreatywna, a potem – wyższa średnia, która niedawno jak po sznureczku gentryfikowała zapomniane dzielnice, teraz wymaszerowywała z nich niczym mróweczki, ciurkiem, w puste, zielone przestrzenie.

Przemiana zataczała coraz szersze kręgi, jakby zarażano się nową postawą życiową albo raczej – ludzie zaczynali coś czuć, jak ptaki szykujące się do odlotu, po prostu nie mogli się powstrzymać; coś się wszystkim przełączało w mózgach. Więc pakowali odzież sportową i obuwie sportowe, moda na nie okazała się pierwszym drgnieniem zmian, i wyjeżdżali, raczej bez wielkich pożegnalnych prywatek. Delikatnie zanadto imprezujący pracownicy korporacji i sfrustrowani urzędnicy okazali się zdolni do przeprowadzania poważnych remontów starych wiejskich chat i prowadzenia ogrodów warzywnych. Szukający miłości na Tinderze pracownicy PR, których możliwości skupienia nie przekraczały ogarnięcia wzrokiem nagłówków w internetowej Wyborczej, poświęcali godziny na zaznajomienie się ze szkicami pieców na torf i atlasami drzew. Wszyscy zdjęli z uszu słuchawki. Przyroda stała się głośniejsza i bardziej obecna, bo ludzie stali się cisi i rozproszyli się po terenie, zamiast siedzieć w przepelnionym, drżącym, kumulującym ciepło i potęgującym hałas mrowisku. Coraz więcej budowano na

Tytuł jest nawiązaniem do wiersza Marcina Świetlickiego *Listopad*

granicach lasów, nad rzekami, daleko od krajowych dróg, tam, gdzie ciężko nawet mówić o miejscowości (ani sklepu, ani kościoła), po prostu rozrzucone siedliska. Słowo „budowa” również stało się nieadekwatne: grzebano, wito, pleciono, lepiono domy z gliny, drewna, słomy i wikliny. Spontanicznie tworzone osady, w których bardziej doświadczeni uczyli tych mniej doświadczonych uprawy warzyw i owoców, rozpoznawania ziół i grzybów, stolarki, metod korzystania z energii wody i wiatru. Niezależne wytwarzanie energii odnawialnej wszystkim jawiło się jako oczywiste – tak jak weganizm, rezygnacja z transakcji finansowych na rzecz barteru i zwyczajnej pomocy wzajemnej, czy zminimalizowanie ilości śmieci. Nikt nie kupował ubrań, bo ludzie w końcu odkryli, że każdy ma takie mnóstwo szmat, że nie ma szans, żeby wynosić to do końca życia. Stopniowo odchodzono od komunikacji na odległość. Internet psuł się, przestawał docierać, nikt się nie upominał. Telefonów stacjonarnych już prawie nie było, ale to one ostały się najdłużej, pewnie dlatego, że są możliwie elegancką formą komunikacji. Komórki zawsze uznawane były za smycze, wymuszające natychmiastową reakcję, bycie stale w kontakcie – zatem nienawidzono ich skrycie i porzucono szybko, radośnie, bez żalu. Przez jakiś czas mnóstwo telefonów, tabletów, laptopów znajdowano gdzie popadnie. Ich ilość była przerażająca, nikt bowiem nie wywoził elektroodpadów do krajów Trzeciego Świata, jak zawsze do tej pory, więc natychmiast zajął się tym problemem zespół najlepszych naukowców, wziął pod uwagę przede wszystkim dobro planety i wymyślił doskonałe rozwiązanie, które natychmiast wcielono w życie, bo wszystkim na tym zależało. Podobnie rozwiązano problem plastiku. Kiedy tylko człowiek zobaczył, jak zgrzeszył wobec Ziemi, zamykając wszystko w foliówki, co się rozkładają tysiące lat i w butelki pakując wodę, zawstydzil się i postanowił naprawić, co zniszczył.

Ludzie jakoś spontanicznie przestali przejmować się rachunkami, podatkami, kontaktami na Facebooku i vice versa – podatki, rachunki, internet przestały przejmować się ludźmi, gdyż (cóż za zaskoczenie!) za nimi stali tacy sami ludzie, jak w innych miejscach ludzkiej sieci. Pojęli, że póki nie zaczęli grać w grę „kto ma najwięcej pieniędzy, gdy umiera, ten wygrywa” (kiedy to się stało?), jakoś to szło; że dla każdego wystarczy, żeby się najeść, a nie przejeść, tylko ludzie się rozhułali, jak rak, co chce wszystko zrobić najlepiej i najszybciej; wszystko jak najlepiej i najszybciej przeorać, wyssać, pochłonąć. O, jak się wstydzieli, kiedy do nich dotarło.

Niektórzy długo zostali w miastach; nic ich nie ciągnęło do uprawiania ziemi. Jeszcze nie wiedzieli, czego chcą, ale dużo o tym dyskutowali – czuli bowiem, że przyjdzie samo, jeśli się zbiorą i będą gotowi. Łączyli się w grupy, rozbijali biwaki wzdłuż nadrzecznych wałów, palili ogniska na placach, sadzili kwiaty w wyrwach w chodnikach; oddawali miasto roślinom i zwierzętom, przywracali właściwe proporcje. Znowu było widać, że to ludzie pobudowali sobie domki w przyrodzie, ciągłej i żywej, a nie, że przyroda została wprowadzona łaskawie w bezbłędne figury geometryczne parków,

poddana ludzkiej kontroli i estetycznym fanaberiom. Projekty, dotąd nieśmiało zgłaszane w budżecie obywatelskim, wprowadzano oddolnie i natychmiast: sadzono drzewa i krzewy nie tylko tam, gdzie je wycięto, ale też tam, gdzie nie było ich od dziesiątek lat; po elewacjach puszczano dzikie wino i bluszcz. Młodzi przychodzili uczyć się od staruszków ze Szczepina, już spakowanych najczęściej i gotowych do drogi, jak pod blokiem wyhodować floksy i pomidory. Zazieleniła się Legnicka, tak jak stało w zapomnianym projekcie miejskim: tramwaje, póki nią jeszcze jeździły, przemierzały tunel z pnączy. Szybko jednak tramwaje przestały być potrzebne.

Ci, co wyszli z miasta pierwsi, osiedli w wioskach, w siedliskach, w samotnych chatkach na łąkach i w lasach. Równym, pierwotnym trybem siali i zbierali. Ci, którzy zostali i zacierali ślady wielu wieków czynionych po omacku, w zadufaniu operacji – rozkopywania, betonowania – prawie skończyli swoje prace. Kiedy ponaprawiali najbardziej smutne, niepotrzebne błędy, poczuli, czego chcą, przyszło: trzeba iść, pomieszkać sobie to tu, to tam, w każdym miejscu, jakie się spodoba. Dlaczego tylko dzieci bogaczy mają o poranku wybiegać na trawniki, pomiędzy bzy i krzaki porzeczek? Czyż nie każdemu należy się dostęp do pięknych miejsc? Czy musimy latami tkwić w wąwozach ulic, wieżach bloków, gdzie nasze oczy, tak głodne światła, nie doświadczają latami widoku dali i karmią się pomarańczowym lub sinym odcieniem latarni lub łuną odbitą od chmur? Jakim odcieniem latarni, ekranem, ciągle jakimś ekranem: komputerem, telefonem, telewizorem, bez przerwy. I dźwięk, cały czas, sztuczny dźwięk z wirtualnej chmury. Wstrząsali się na wspomnienie tak zwanego prawdziwego życia, prawdziwej pracy; kręcili głowami, wyzwoleni, nad dobrowolnym zniewoleniem swoich poprzedników, siebie samych do tak niedawna. Teraz słuchali każdego szmeru, byli czujni na najmniejszą zmianę światła, interesowały ich ruchy liści na drzewach i zapach powietrza. Teraz chcieli iść i oglądać dokładnie wszystko po drodze, przeżywając raz po raz ten dreszcz bycia gdzieś po raz pierwszy. Orzeźwiający, jak zanurzenie się w wodę.

W ludziach uruchomiła się dawno wyparta chęć życia w drodze. Ci, co lubili być dobrze przygotowani, poszli się uczyć od Cyganów i włóczęgów. Oni, początkowo niechętni, później – rozbawieni, pokazywali gościom, przez których nagle jakby prąd przepłynął, jak zbudować piec i na czym życie polega. Sprzedawcy ciuchów, kasjerzy, pracownicy call centrów, informatycy i bankierzy, pod okiem ekspertów od życia w ciągłej wędrówce, stawiali baraki ze starych drzwi i okien, uczyli się palić drewnem, a rozpalać oszczędnie. Przyswajali też tę inną wiedzę: jak porzucać, odchodzić, kierować się instynktem w poszukiwaniu nowego, cieszyć się na to nowe i chcieć go, jednocześnie nie tęskniąc za dawnym, być wdzięcznym za to, co było, ale bez woli zatrzymania przeszłości, utrwalenia w formie innej niż wspomnienia, słowem: podążać tą ścieżką, która codziennie wyłania się przed nami, a za nami znika. Połapali się, bo wszystkim jakby nagle przybyło rozumu, że nie trzeba jeździć do Indii, żeby doświadczyć bycia teraz, nie

trzeba coachów ani podręczników mindfulness, wystarczy posłuchać tych, którzy mają w momentalnej doczesności doświadczenie, choć uznawani byli za pariasów. Sięgnąć po tych, co zawsze byli pod ręką. Zdążyli w ostatniej chwili. Wszyscy ci, co chwytają się byle czego, to tu, to tam, kombinują, dryfują po Europie już się powoli zwijali, ale zostali jeszcze popatrzeć – mogli sobie na to pozwolić; wszak potrafili ruszyć błyskawicznie, a było co oglądać: wiedzieli, że powraca ich żywioł, wiedzieli wiedzą podstawową, jak umiejętność ssania, że był to kiedyś żywioł wszystkich, potem już tylko Cyganów, a potem odebrano go nawet im, ostatnim, którzy przechowali pamięć i tęsknotę do ruchu. Do znikania. Hopsa, nie ma nas. Jesteśmy gdzie indziej.

Żeby ślad jak najmniejszy zostawić, to jest osiągnięcie, a nie największy. Późno to do ludzi dotarło na nowo, ale zjednoczyli siły, najlepiej, jak umieli naprawili swoje błędy i sobie poszli.

Futurlab

Fragmenty meldunku bieżącego z konferencji programowej Połączonej Komisji Międzywydziałowej, Międzyregionalnego i Międzynarodowego Ciała Monitorującego ds. kultury, transportu śródkontynentalnego, inwestycji, migracji i stosunków międzyludzkich.

Olga Chrebor



Jeden, jeden, dwa, jeden... test łączy.. Centrala, odbieracie?

ODBIÓR TRANSMISJI TEKSTOWEJ BEZ UCHYBIEŃ. MELDUJ A.C.

Linia nadawcza bezpieczna. Przystępuję do transmisji tekstowej na żywo z Posiedzenia Połączonej Komisji Międzywydziałowego, Międzyregionalnego i Międzynarodowego Ciała Monitorującego ds. kultury, transportu śródkontynentalnego, inwestycji, migracji i stosunków międzyludzkich. Wrocław, 27 czerwca 2056. Sala pełna. Właśnie zaczynają.*

Szanowne koleżanki, drodzy koledzy, dziś przed nami kolejne święto nauki i sztuki, mityczne Davos, swobodne forum geopolityczne i ekonomiczne, niezależna platforma stosunków etnicznych i bezpośrednich. Po raz kolejny skonfrontujemy nasze projects z potęgą wiedzy i *creativity* najtęższych oraz najbliżskotliwszych umysłów naszej dekad. To już tradycja, że spotykamy się w tej jakże nieformalnej celebryckiej atmosferze, by nieskrępowani rutyną codzienności wyznaczać kierunki globalnej zmiany, updejtować aglomeracyjną misję, kreować regionalny rozwój... ale bez pośpiechu... Zacznijmy od szczegółów technicznych, bo już widzę, że mamy odrobinę chaosu, twórczego rzecz jasna, ale... uhm... w każdym razie..., gdzie to ja byłem... chciałem zacząć od... Panie Perfecki, ** bardzo proszę o chwilę skupienia – nie chcę zostać posądzony o impertynencję, ale przez wzgląd na nasze bezpieczeństwo pozwalam sobie na tak niestosowne zachowanie – proszę skupić się na absorpcji informacji. A zatem: osoby, które nie wyrażają zgody na identyfikację soczewkową oraz transmisję na żywo zapraszam do sektora N/T, jednocześnie uprzejmie przypominam, że zgłoszenie aplikacji udziału w naszym evencie jest równoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych. Chipy translatoryczne umieszczone są w lewym podramienniku siedzisk, sektor dla osób pozabilingualnych znajduje się z tyłu sali w ostatnich dwóch rzędach i oznaczony jest emblematem N/PLUA. Głosowanie tradycyjnie: zielony guzik i czerwony, TAK / NIE, ale tego chyba nie trzeba powtarzać. Podręczne akumulatory znajdują się po Państwa prawej stronie, jednocześnie z uwagi na ostatnie wydarzenia, *wiadomo jakie*, prosimy o wyłączenie nawigacji w Państwa komunikatorach. Budynek jest wyposażony w systemy głośzące i pozwala na niefiltrowaną wymianę myśli elektronicznej, ale że przywołam słowa szczególnie bliskiego mi Hiszpana Santiago ***, niezwykłego filozofa ubiegłej epoki: *jedyne czego możemy być pewni to tego, że nic nie jest pewne i jeszcze coś nas zaskoczy.*

Przedłużający się niemiłosiernie aplauz z sali.

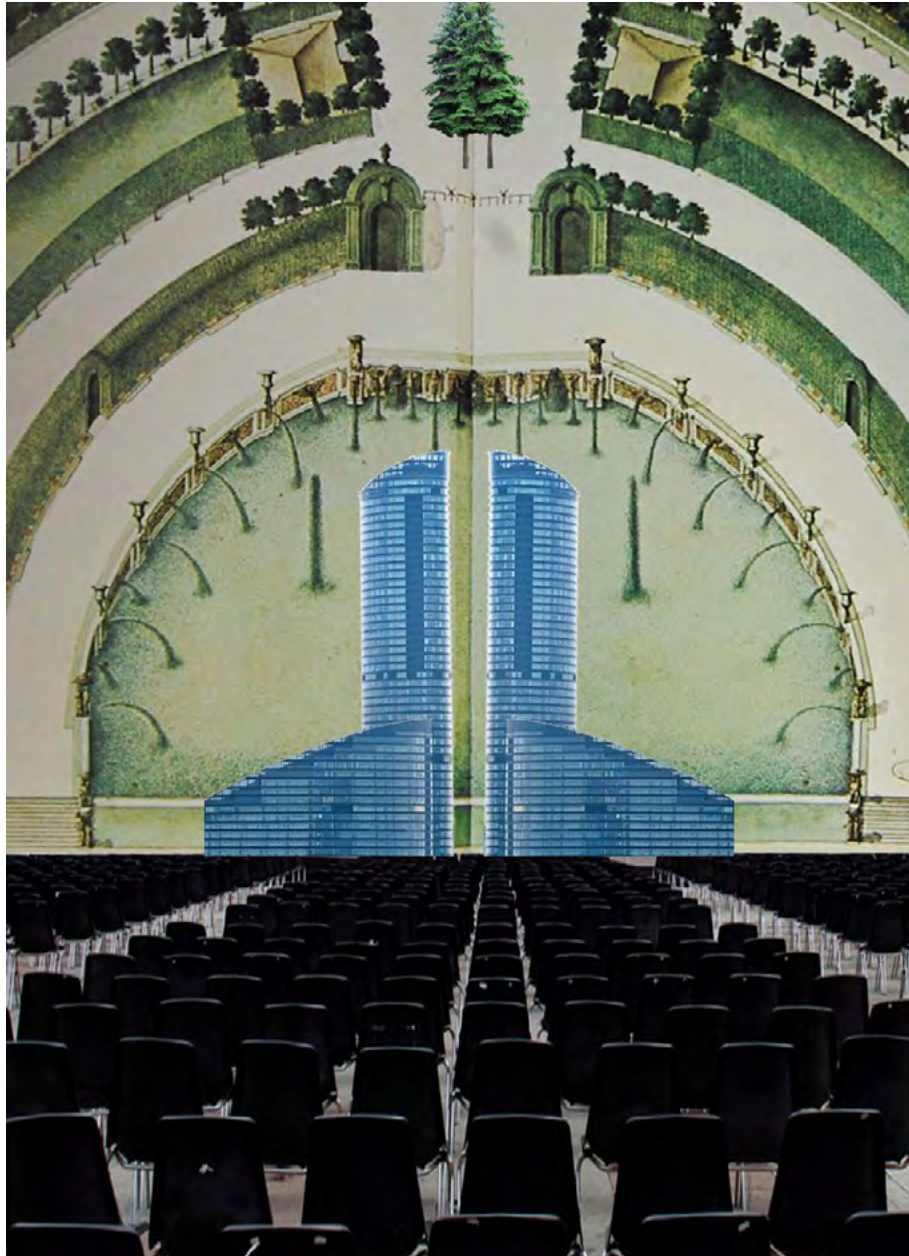
Aplauz wciąż trwa...

Pochodzenie dokumentu, jego autor i odbiorca nie są na chwilę obecną rozpoznane i podlegają szczegółowemu dochodzeniu. Dokument może mieć znaczenie rangi korporacyjno-państwowej i stanowić dowód w/s o rażące naruszenie inwigilacyjne. Odnaleziony został w optakowanym stanie technicznym i przekazany odpowiednim służbom, celem odzyskania utraconych danych. (przyp. oficera prowadzącego).

* 55. rocznica podpisania Porozumienia o współpracy pomiędzy Lwowem i Wrocławiem z dnia 27 czerwca 2001. (przyp. oficera prowadzącego)

** Zbieżność imion i nazwisk jest raczej przypadkowa. (przyp. oficera prowadzącego)

*** Zbieżność imion i nazwisk jest zazwyczaj przypadkowa, ale straciłem pewność. (przyp. oficera prowadzącego)



Przemawia dalej ten sam obiekt (chyba organizator albo sponsor, tablica soczewkowa nie wyświetla nazwiska, ale wszyscy tu wiedzą, kto zaczął).

Żyjemy w niezwykłych czasach, w niezwyklej metropolii, w przededniu epokowych decyzji dotyczących Unii Ekonomiczno-Korporatywnej Obojga Narodów. Zanim przejdziemy do *e-voting*, które nakreśli nasz dzisiejszy program, chciałbym z wielką dumą zaprezentować jeden z właśnie ukończonych programów inwestycyjnych: ponad dwustumetrowy dar Vroclavia dla Lvova, bliźniaczy Sky Tower w siostrzanej aglomeracji! Oto on! *Nebesna vezha!* Czyż nie błyszczą pysznie? Czyż nie brzmi smakowicie?

Aplauz...

Dalej aplauz...

Nie rozumiem, po co ja to piszę – nie możesz po prostu obejrzeć, co tu się dzieje? Sprawdziłam wszystkie linie transmisyjne – są zabezpieczone.

... Otóż to! Błyszczą, świeci, mieni się – zachwycający projekt, wspaniała idea, która na Państwa oczach z wirtualnego *dream* przemieniła się w imponującą stalowo-szklaną konstrukcję. Będzie doskonałym świadectwem przymierza i naszej metropolitalnej Unii. *Nebesna vezha* usytuowana przy ul. Łyczakowskiej, jednej z głównych arterii Lwowa, pomieści blisko 120 punktów sprzedażowych i 30 samoobsługowych stanowisk gastronomicznych, a także Kompleks Rodzinnego Wypoczynku oraz Centrum Biznesu i Rozrywki. Co więcej, ten przepiękny budynek stanie się także siedzibą Wschodnioeuropejskiego Oddziału Światowej Korporacji. Na takie wyróżnienie nasze miasta czekały od lat. To niezwykle zaszczyt! Marzyliśmy – i nasze marzenia *came true*. Zawdzięczamy to w szczególności klastrom biznesowym, których prezentację podziwiają Państwo w tej chwili na komunikatorach. Proszę zapoznać się szczegółowo z sylwetkami menadżerów prowadzących – to przyszłość naszych aglomeracji i całej Unii! Wielkie brawa!

Klaszczą, klaszczą.... – zraportowałam wszystkich menadżerów na screenie z wyświetlacza, to już nie przepisuję.

A teraz przejdźmy do wyboru mówców i elementów programu. Zapraszam do indywidualnej selekcji elektronicznej. Przypominam, że głosowanie jest jawne.

Gusta ustandaryzowane – jak zwykle w naszej rozczulającej korpo-demokracji większość bezwzględna optuje za „przerwą lunchową” poszerzoną o sentymentalny

*spacer z wódeczką (swoją drogą – skąd oni ją biorą skoro nikt tego u nas od lat nie produkuje?), na wieczór bal-vechirka w stylu Breslau / Lemberg – cokolwiek to znaczy. Do wystąpienia zgłosili się na dziś: Sasza-blogger – ma prawie 18 milionów wyznawców na swoim kanale, Dawid Junger – jakiś lokalny ex Komisarz Metropolitalny ds. stosunków etnicznych (nazwisko nic nie mówiące, ale twarz skądś kojarzę), Towarzystwo Prezerwacji Pieśni Naturalnej, artystyczny break (Rusłana Saniewska****, zwyciężyła w ostatniej edycji corpo-show), Oleksandr Bilka (Pierwsza Fala) i ekolodzy; pozostali mówcy biorą udział w powtórnej turze głosowania .*

**** Zbieżność imion i nazwisk może być przypadkowa, ale nie musi. (przyp. oficera prowadzącego)

Witam serdecznie! Zdorov braty! Hello! Pozwalam sobie przemówić w imieniu Stowarzyszenia „Pierwsza fala” oraz platformy zrzeszającej bilingualnych „2020”. Borykamy się z od jakiegoś czasu z poważnym problemem: wzrasta liczba osób acyrylicznych. To poważne zagrożenie dla naszego dziedzictwa! Alfabet skazany jest na wymarcie. W związku z tym zwracamy się z wnioskiem o uruchomienie regulacji i procedur finansowych przewidzianych w Europejskiej karcie języków regionalnych lub mniejszościowych, do której Kijów dołączył na mocy Traktatu Strasburskiego V (z późniejszymi zmianami). Zgodnie z klauzulą praską alfabet grupy napływowej zagrożony zagładą podlega szczególnej ochronie, zapewnianej przez lokalne władze Metropolitalnego Ciała Monitorującego ds. migracji. Z tego miejsca zachęcam do dołączenia do naszej grupy inicjatywnej...

Na pewno ich zignorują – beznadziejna inwestycja.

... Kolejnym zagadnieniem, które chciałbym poruszyć, to dramatyczny spadek zainteresowania nowej generacji kulturą tradycyjną. Liczba downloadów 4-ech zbadanych przez nas tytułów konstytuujących triduum klasyki postmodernistycznej w ciągu ostatnich 15 lat spadła właściwie do zera. Podobnie sytuacja wygląda w Digitalnej Encyklopedii Wiedzy – jak wiemy hasła mało researchowalne przez użytkowników, z czasem trwale usuwane są z informatycznej chmury kumulacyjnej. Sytuację ratują w niewielkim stopniu filmowe produkcje z początku Millenium, ale to tylko kwestia czasu, kiedy całkowicie zdilejtujemy z kulturowej pamięci wspólnotowej nazwiska takie, jak...

Chwileczkę, ktoś próbuje nieudolnie przejąć mój nadajnik. Zaraz wracam na linię...

Już jestem. W niezarejestrowanej części obiekt upierał się, żeby pomnik postawić i konkurs ogłosić, celem upamiętnienia. Nic istotnego raczej mi nie umknęło, choć nigdy nie wiadomo. Była jeszcze prelegentka od pieśni wypowiadająca się w tym samym tonie, że rootsy giną, że zagłada, i żeby chronić. I że Ci z nowej fali napływowej po 20-tych nic nie rozumieją i na niczym im nie zależy. Teraz następny mówca.

Chciałbym poruszyć szeroko omawiany plan eksterytorialnego powietrznego korytarza Wrocław-Lviv. Jest to przedsięwzięcie nie tylko kosztowne, ale rażąco naruszające i tak już zachwiany stosunek narodowościowy w naszym mieście. Swobodny przepływ towarów to jedno... regulacja konieczna i nieunikniona, ale niekontrolowana translokacja imigrantów?! Nasza polska *political correctness* jest tutaj zupełnie nie na miejscu. I powtarzam to po raz kolejny – chipowanie podróżnych nie rozwiązuje problemu! Ubiegłoroczny dekret rządowy legalizujący pobyt 17 milionów osób z niewyjaśnionym statusem podległości państwowej najdotkliwiej obciążył właśnie nas – wrocławian. Dwumilionowe miasto, w tym milion nielegalów z prawem do 10-letniego pobytu lub (sic!) zautomatyzowaną wrocławską przynależnością prawnopaiństwową! Nie wspomnę już, że nasza azjatycka granica to farsa: najpilniej strzeżony mur, chroniony przez kilkutyśięczny dwunarodowy korpus sił bezpieczeństwa borderowego, przez który jednocześnie bezmyślnie wpuszcza się tysiące imigrantów powołujących się na wschodnioeuropejski rozejm azylowy. Ministerstwo Deportacji zlikwidowano, 17,3 km2 przestrzeni miasta zajmują przestępcze syndykaty i prawosławne mafijne getta, osoby pozabilingualne są de facto wykluczone z rynku pracy! Czy o to właśnie chodziło nam, gdy programowaliśmy *future* w Aglomeracyjnym Dokumencie Rozwoju? Obraliśmy niewłaściwą ścieżkę, całe to *multi-culti* naraża nas na ogromne niebezpieczeństwo. Popełniliśmy błąd, ale wciąż możemy go naprawić...

Prawdziwy raport mniejszości. Nazywa się Junger. Już go wyrzucają, w sumie miły pan starej daty. Z daleka słabo widzę, ale chyba miał okulary i jeden z tych vintage'owych fatalaszków a'la garnitur. Spodobałby Ci się. Teraz jacyś ekolodzy – ECO-LAB i WEGE-INTERNATIONAL.

Koledzy! Przedstawiamy nasze najnowsze dziecko. Projekt zrealizowany wraz z korporacją ECO-Investment. Jesteśmy niezwykle dumni, że tak nietypowe rozwiązanie udało się wdrożyć właśnie tu, we Wrocławiu, mieście z ambicjami, mieście, w którym wszystko jest możliwe, mieście zieleni i wody, którego system energetyczny już wkrótce będzie całkowicie ekologiczny i samowystarczalny. U źródeł naszych inspiracji było niekonwencjonalne potraktowanie wrocławskiego krasnala. To właśnie on był początkiem niezwyklej urbanistycznej koncepcji, w której arterie metropolii są metaforą krasnoludzkiego krwioobiegu. Główną motywacją projektu, była chęć oddania przestrzeni w ręce lokalnej społeczności. Pięcioletni, szeroko zakrojony system oceny potrzeb mieszkańców, oparty na 2564 rozmowach fokusowych i grupie badawczej składającej się z 25-u tysięcy ankietowanych, pozwolił nam odnaleźć serce wrocławskiego krasnala. Centralna Galeria Green Corps, usytuowana na dawnej Wyspie Słodowej będzie miejscem spotkań i odpoczynku mieszkańców. Sieć komunikacyjna została zintegrowana i podporządkowana potrzebom wypoczynku i *slow-life*. Dzięki

najnowocześniejszym technologiom, wykorzystującym m. in. efekt falowania wody, już dziś 20% zapotrzebowania energetycznego Galerii pozyskujemy z zanieczyszczeń rzecznych, skażonych wód deszczowych oraz ekstraktu smogu (jak lubimy żartować: nasz krasnoludzki nos czasem cierpi na katar, ale wydycha jedynie nieskażone kilowatogodziny).

Przekazuję dosłownie, nie złapałam żartu, ale publiczność dowcip rozbawił i ożywił, pomimo, że wcześniej zauważyć się dało lekkie znużenie. Teraz Sasza-blogger.

Chciałabym opowiedzieć o swojej wewnętrznej duchowej transformacji... o tym jak po latach cybernetycznej izolacji odnalazłam duchowe epicentrum. Zanim jednak przejdę do szczegółów, chciałabym uaktywnić mój *global kanal* (Państwa oczywiście także zapraszam do zapisania się do naszej wspólnoty). Próba.... Próba... o już ...są z nami członkinie Zgromadzenia. Zarówno do ich, jak i Państwa dyspozycji pozostaję codziennie w godzinach od 10.00 do 22.00, płatne wg stawek korporacyjnych, a skoro moja dzisiejsza prelekcja wypada w godzinach pracy... nie mogłam zawieść moich Sióstr; to nie tylko praca i służba, lecz przede wszystkim powołanie... Wracając do mej historii...

Pomyłka, Sasza – to kobieta, w sensie dziewczyna bardziej – na oko około 19 lat.

Post-ponowoczesny człowiek szuka – siebie rzecz jasna, swego pierwopoczątku, swego *clue* i swego *ego*, swego być i nie być, bo tak wszak brzmi pytanie o nasz sens w Układzie Planetarnym Jednego Ze Słońc! Czy jesteś samotny? Czy szukasz strefy sejsmicznej, którą mógłbyś dzielić z drugim człowiekiem? Czy chcesz być: tu i teraz, współgenerować magnitudę, a nie tylko biernie pobierać sejsmiczną energię? Uczestniczyć naprawdę, doświadczać radykalnego wybaczenia? Mieć wsparcie wiary, które jest na wyciągnięcie interkomu? Ja odpowiedziałam sobie na te pytania twierdząco... Przesraszona i samotna szukałam inspiracji w ajurwedzie, trumpizmie, neoliberalizmie, jedizmie, szintoizmie, chrześcijańskiej tradycji Wschodu i Zachodu, jedna M^{****} wie, gdzie tylko nie szukałam. Na drogę prawdy wstąpiłam dzięki numerologii, choć to był dopiero pierwszy krok na drodze ku *cognizance*...

Pauza... jak sądzę na dogłębne przemyślenia... Jeszcze chwila i sama doznam objawienia, nawiążę kontakt telepatyczny z M. (kimkolwiek jest) i siłą duchowej woli zakończę ten absurdalny odczyt...

Proszę Państwa, oczywistą oczywistością jest, że cyfra 3 szeroko rozpowszechniona w religiach (sic!) monoteistycznych nie jest przypadkowa. Liczba ta została ewidentnie zmaskulinizowana, ale powróciła w swej pierwotnej naturze dzięki smokom Zrodzonej

z Burzy, Niespalonej i Wyzwolicielki z Okowów. Nie jest dla nas także tajemnicą, że 3 ruskie narody związane odwiecznym sarmackim prapoczątkiem były w istocie swej kobietami. Jeszcze nie tak dawno, w epoce millenijnej, nawiązywały wprost do swego *femina-roots* w charakterystycznej żeńskiej końcówce terytorialno-prawnego nazewnictwa. Powoli, krok po kroku, docierało do mnie: *feminę* mam w sobie, jej odrobinka – moc pochodząca wprost od jedynej prawdziwej Bogini: M., Pierwszej tego imienia – i jej wszystkich kolejnych wcieleń jest we mnie i w każdej z nas. Wraz z Siostrami Zgromadzenia...

DZIĘKI A.C. TYLE WYSTARCZY. NIE SZUKAJĄ MNIE. SĄDZĘ, ŻE NIC NIE WIEDZĄ O ZJEDNOCZONEJ BOHEMII, WYROZCNI I FILMIE. POWĘSZ JESZCZE NA TEJ CAŁEJ BAL-VECHIRCE. PRZEŚWIETL, JEŚLI BĘDZIE OKAZJA, PERFECKIEGO. TYLKO OSTROŻNIE – MOŻE GRAĆ NA DWA FRONTY. TO TYLKO PODEJRZENIA, ALE LEPIEJ MIEJ SIĘ NA BACZNOŚCI. DO NASTĘPNEGO, ROZŁĄCZAM SIĘ.

**** Prawie na pewno M. nie jest użyte przypadkowo, ale źródło na temat kim była lub jest M. brak (przyp. oficera prowadzącego)

THINKDADA 2056

Tomasz Jakub Sysło

...→ Wrocław 2036 - 2056

w roku 2056 będę miał... hmm? nawet nie chcę wiedzieć ile lat.

po chwili namysłu i zsumowaniu liczb, wychodzi, że będzie to 83 lata. istne #thinkdada, gdybanie co by było. dobrze, zabawmy się.

jeśli będę jeszcze żył na pewno będę poruszał się po tym mieście w egzozskiecie dość szybko mam nadzieję, bateria będzie trzymać długo i mam nadzieję, że nie będzie skrzypił za bardzo. kolor magenta to być musi, niech diody tak dają po oczach. może to będzie jakieś narzędzie ułatwiające lewitacje

kolorowo będzie wokół. będzie to moje wszechobecne #thinkdada – system idei i przemyśleń powodujący, że będziemy się starali „kolorować” pozytywnie wszystko. to nie jest zamazywanie rzeczywistości lecz raczej szukanie dobrych rzeczy. myślenie oparte trochę na dadaizmie czerpiące dużo z artystycznych dewagacji oraz zamiłowanie do myślenia pozytywnego, innowacyjnego i spokojnego. będziemy skupiać się na dniu dzisiejszym. będziemy zamieniać smutek i nostalgie poprzednich lat na krople radosnych działań.

wiem, że trzeba docenić dzień codzienny. każdy. zawsze i wszędzie musi być CARPE DIEM z mojego ulubionego filmu: „stowarzyszenie umarłych poetów”.

wszystko to brzmi jak science-fiction, bo czy można przewidzieć tak daleko przyszłość jeśli to wszystko dzieje się tak szybko. kto by pomyślał, że w 2007 roku steve jobs pokazując pierwsze iphona zmieni tak świat, że kilka lat później wszyscy będą patrzeć w ekrany i tam szukać odpowiedzi. tak będą ze sobą rozmawiać. będą samotni i wyobcowani. technologia nas otoczy i pomoże w codzienności, o mało co nas nie zniszczy ten postęp niestety. zapomnimy jak to jest czytać książki i pisać wiersze.

gdy myślę jak może wyglądać to wszystko, że mimo wszystko ocalejemy i nie pozabijamy się, nie umrzemy z głodu czy też nie zniszczymy naszej planety, to wizja świata z filmu „blade runner” jest do zaakceptowania, wszystko tam jest bardzo realne - szczególnie muzyka jaka jest tam w tle i ten deszcz non-stop padający. wyobraźmy sobie to we wrocławiu ciągle pada i gdzie stary sky tower będzie najniższym z drapaczy chmur, taki śmieszny będzie ten taras widokowy na 43 piętrze.

nie będzie smogu, który dusił nas przez 40 lat. to radość wyjść na miasto bez maski tlenowej. część mieszkańców schowa się w wirtualnym świecie, to nawet dobrze, bo

przez to nie będzie przeludnienia, część zamieszka na planetach układu słonecznego i komunikatorami będziemy się z nimi łączyć bezgranicznie.

miasto zmieni się niesamowicie, urośnie do góry i w dół. zazieleni się na dachach. transport publiczny będzie podstawowym środkiem lokomocji dzięki niemu dostaniemy się na dachy i na najniższe kondygnacje. musimy zacząć myśleć o mieście przestrzennie, nowa zmienna dodać, miasto będzie w 3D – nie tylko z centrum na obrzeża, ale też dzielnic będących w chmurach. oczywiście daleko nam do dubaju czy nowego yorku, londynu lub pekinu.

najważniejsze dla mnie by moje potomstwo, mój syn był szczęśliwy i zdrowy, by w jego głowie też gościło #thinkdada, by tworzył i rozwijał dobre myślenie, by był kreatywny w swych działaniach. podstawą tego wszystkiego jest miłość do innych ludzi, może to brzmi vintage wręcz w tych czasach i naiwnie.

medycyna będzie najważniejszą z dziedzin jaka dobrze się rozwinie, wyleczymy mnóstwo chorób i dolegliwości, uratujemy wielu ludzi. w moim mieście będą leczyć ludzi po złamaniach kręgosłupa, klinika jaka powstała na psim polu wyleczy co roku setki tysiące urazów. to nasze miasto zmieni, już teraz to robi.

kolorowe krople naszego pozytywnego myślenia zmienią to miasto. ludzie - społecznicy i aktywiści spowodują to, że urzędnicy zaczną myśleć podobnie. jest nadzieja i optymizm w tym patrzeniu w przyszłość. nie można myśleć egoistycznie.

za 40 lat będzie nas 7 miliardów na planecie ziemi. morze ludzi. ocean. ile nas będzie w tym mieście? 3 miliony? cztery? czterdzieści milionów? a może tylko 40 tysięcy? przewiduje, że większość z nas będzie wegetarianami, bo mięso będzie bardzo drogie i będzie go mało. będziemy jeść świerszcze i nawet je hodować w domu.

długość życia się wydłuży.

czy będziemy mądrzejsi?

czy w ogóle będziemy?

Kotlet z tygrysa

czyli zawsze jest teraz

Hanna Janczak

*Dawno, dawno temu bazarz ćmił fajkę
na chodniku i opowiadał niekończącą
się opowieść o tym jak to było jutro.*

T. Szmigiel



2056 ziemia trzęsła się już dobre trzy dni i wczoraj przeniesiono nas do mniejszych namiotów nocowaliśmy jak reszta mieszkańców miasta wzdłuż ulic byłem zmęczony ale nie mogłem spać co rusz budziły mnie odgłosy kroków odpinanych rowerów metalowych dzwonek przy kierownicach szelest folii papierków katar i pokasływanie wreszcie zaczęło świtać wstałem nie przebierałem się chwyciłem bluzę i wyszedłem z naszego tymczasowego domu dzień był szary nijaki jak wszystkie ostatnio przez duże zanieczyszczenie powietrza ale czułem się jakbym był na wakacjach rzędy namiotów były jak kolorowe żagle posadzone na tafli mrocznego jeziora ruszyłem pod kulisty dom w którym kiedyś mieszkaliśmy bo gdzie indziej mogłem pójść

2016 Znienawidzony budzik obudził mnie o 6.40. Na dworze siąpił deszcz. To dobrze, dawno nie padało. Dwa tygodnie temu będąc na Warszawie gapiłam się na wysychającą Wisłę, żółte dzikie hałdy i mierzeje. A dziś jest Wrocław, hebrajski 5776 nowy rok, czarny marsz kobiet, na którym chcę być. Jeszcze nie wierzę, że marsz się uda i nie spodziewam się, że będzie na nim dwadzieścia tysięcy wkurwionych kobiet. Do pracy dzisiaj oczywiście nie idę! Jak protest to PROTEST! A co mi tam.

2036 Trwa październikowy upał. Wreszcie pada deszcz choć ponury i niezbyt przezroczysty. Z nieruchomej gęstej mazi szarego, ciężkiego powietrza wylaniają się obce twarze. Nie patrzą na mnie bo i nie ma na co patrzeć. Oczy mają zastygłe, odłączone od drogi, stóp, może nawet od nich samych a przyłączone do głównego serwera. Idą te twarze z uszami nakrytymi słuchawkami, z ruchomymi obrazkami trzymanymi w dłoniach.

2056 stoję pod blokiem obłe ściany mojego błękitnego pokoju jeszcze dwa dni temu znajdowały się na 46 piętrze teraz pokruszony i brudny błękit mam pod stopami skrzypi ten błękit i uciska wysuszoną na wiór ziemię nie wiem jakim cudem ale znajduję pajdusia i julka moje przytulanki których już się trochę wstydzę wraz z innymi zabawkami walają się w pyle który wdziera się do nosa i płuc pajdek nie ma ucha i nogi julek ma rozdarty brzuch z którego wylażą szarobure szmaty powoli schylam się i podnoszę ich jak się podnosi beczącego brata jak najdelikatniej wciskam szmaty do brzucha julka brata nie mam nigdy nie miałem

2016 Napiszesz? – spytała tydzień temu Kamila. Napiszę, napiszę – odparłam. Ale co znaczy pisać o czasach kiedy będę mieć 60 i 80 lat. A przede wszystkim w jakim języku. Czy powinnam wymyślić nowe słowa? Skracać je? Łączyć czy upraszczać? Te i inne pytania, które przychodziły mi do głowy, pozostaną otwarte.

W trakcie pisania wykorzystano oryginalne wypowiedzi dzieci w wieku 7-10 lat dotyczące przyszłości Wrocławia. Autorka długo myślała nad wytłuszczeniem tych fragmentów. Postanowiła tego nie robić, gdyż stanowią integralną część większej całości i zburzyłyby układ oraz melodię tekstu.

2036 Idę ulicą. Buty mam dziurawe, ale w tym upale to nawet lepiej. Kopię drobne kamyczki i patrzę dokąd lecą. Nie mam dziś nic do roboty. Nie muszę się spieszyć.

2056 trzymam te rozpaczliwe skrawki w rękach i przykładam je do nosa to dziwne ale już mną nie pachną pewnie przez ten pył pójdziecie ze mną chłopaki mówię choć wiem że to głupie gadać do brudnej szmaty ale zaraz przychodzi kaszel i zagłusza myśli zresztą wszyscy wokół pokaszują i charczą światło popycha drobinki kurzu a ja błędę po tym gruzowisku i wygrzebuje resztki jedzenia spłaszczone metalowe resoraki jestem upartym i niezwykniętym poszukiwaczem skarbów jak pirat z audiobuka babci na ogromnym rozgrzanym morzu śmieci w ogóle pełno tu zabawek kabli mikroprocesorów obwodów sterowników do robotów i dzieci snujących się jak ja wracających do swoich pokoi których przecież nie ma wyglądamy jak ruchomy zwój gigantyczny wąż z wieloma oczami rozgałęziający się we wszystkich kierunkach ale przysięgam nie mamy nic do roboty

2016 Jak na ironię dwa tygodnie wcześniej szlag trafia mój komputer i całą pamięć. Wprawdzie pożyczam jakiegoś grata z pracy ale ma zablokowany dostęp do sieci. Pisać więc będę o przyszłości bez Internetu. Moja głowa początkowo się buntuje się potem jednak przyjmuję to za znak. Znak, który karze zaufać temu co za oknem, na ulicy, tu i teraz, co pada z dziecięcych ust siedmio- ośmiolatek z wrocławskich podstawówek. Przyjdzie mi więc zmierzyć się z przyszłością widzianą oczami dziecka. Oczami surowymi, naiwnymi i jak to teraz widzę – samotnymi i pogrążonymi w monitorach komputerów, telefonów i telewizorów, w świecie chi-my, ninjago i minecraft.

2036 Spokojnie zmierzam do najbliższego sklepu. Przed sobą mam wschody i schody. Wybieram wschody chociaż sklepy są podziemne i naziemne i staję w oświetlonej, sterylnej hali. Nie zdążyłem się dobrze zastanowić a już sięgam po chleb zmieniający kolor pod wpływem śliny, jajka barwiące się na błękitno, pomidory halucynogenne i wodę w nieprzemakalnej papierowej butelce. Jezu, pamiętam jak byłem mały i stało się w kolejkach do kasy. Mama mówi, że tupałem nogami i darłem się w niebogłose wskazując na batona. A teraz luz. Pakuję moje ulubione gumy balonowe zmieniające kolor co 2 minuty i paruwki przez „u”.

2056 nasza szkoła znajdująca się w statku kosmicznym odleciała podczas trzęsienia i nie wiem gdzie jest teraz ani kiedy wróci co chwilę natrafiam na jakąś pluszową łapę albo urwaną głowę która kiedyś pewnie była lekarstwem na sen albo lek przed zgaszonym światłem szwendam się tak trochę bez celu aż w końcu zachciewa mi się siku rozglądam się nerwowo ale przecież nie ma toalety nie ma też drzew więc odchodzę trochę od mojego zwoju kątem oka dostrzegam fragment ściany która mogła być kiedyś pokojem albo czyjąś kuchnią i który pogwizdując jak gdyby nigdy nic obsikuję żółty strumień spływa po ścianie na kable te podskakują syczą coś w swoim języku po czym układają się na powrót spokojnie oddycham z ulgą

2016 Przewracasz się na drugi bok i dociskasz koldrę do rozgrzanych ramion. Pachniesz wilgocią, snem i czymś słodkim. Jak co dzień szlag mnie trafia, że istnieje coś takiego jak budzik oraz ten cały pieprzony pośpiech nie prowadzący do niczego. Wolałabym wcisnąć nos w twoją skórę i oczadzać się zapachem ciała. Ale najchętniej bym cię rąbnęła! Bo jak możesz spać kiedy mi nie wolno! Jednak wygrywa obowiązek, więc tylko całuję cię w ramię i gramolę się z wyra. Ubieram się, przygotowuje śniadanie dla Antka i budzę go. Pomagam mu się ubrać wysłuchując codziennej dawki marudzenia, bierzemy plecaki, śniadanie w miskach, które jemy w samochodzie i wyruszamy z Muchoboru Wielkiego do szkoły, do centrum miasta, czyli jakieś 4-5 km co oznacza stanie dzień w dzień w godzinnym pierdolonym korku. Drugi korek czeka mnie w drodze powrotnej ze szkoły. Zwykły dzień mieszkanki Wrocławia właśnie się rozpoczął.

2036 Drzwi szczytują moje dane, półki się podświetlają kiedy po coś sięgam identyfikują i odliczają z konta kiedy wkładam do plecaka jedzenie. Idzie szybko. Nie mam środków na koncie, nie martwię się, jutro dostanę informację gdzie mam się udać i ile godzin odpracować na rzecz miasta, jego wirtualnych władz. Nie odpracuję następnym razem nie wezmę żarcia. Ale ja przecież jestem cudowny, jestem najlepszy, mam przed sobą wielkie plany, zaprojektuję kulę, w której wy będziecie żyć, będziecie hodować perlargonie, siedzieć przed wielkimi monitorami i płodzić dzieci. Ja, Antoni! Już widzę te informacje na centralnym serwerze: Antoni K. człowiek, który zaprojektował pierwszą samowystarczalną mieszkalną kulę zmieniającą barwy pod wpływem nachylenia do światła. I pierwszy wizjoner, który stworzył rezerwat ginących ptaków: wróbla i gołębi. Precz z prostokątami, ostrymi kantami mieszkań budowanych masowo dla średniaków. Miasto zacznie się teraz toczyć po nieznanach ścieżkach. Natura nie jest kanciasta. Natura jest nieobliczalna! Antoni jesteście wspaniały!

2056 nie boję się wszystko co miało runąć runęło odwracam się i widzę mamę rękami zasłaniającą twarz musiała wyjść tuż po mnie trochę mi jej szkoda macham do niej ale mnie nie widzi stoi na gruzach i próbuje połączyć obwody elektryczne żeby ożywić swojego ukochanego robota pewnie chce skorzystać z zasilania czerpiąc energię słoneczną potrzebną do normalnego funkcjonowania nawet stąd widzę jej błyszczące oczy pewnie płacze suchy wiatr rozwiewa szarą sukienkę tę samą co wczoraj i wygląda jak poszarpany anioł albo opuszczona kotara którą ktoś zaraz podniesie przesunie albo zerwie na prawej nodze ma brudny opatrunek po tym jak dwa dni temu spadający kawek ściany wbił jej się w łydkę

2016 Od pół roku nie czytam gazet. Telewizora nie posiadam od lat dziesięciu. Radio staje się coraz bardziej ideologiczne. Myśli moje coraz częściej kierują do świata zwierząt i roślin. Po raz pierwszy obsadziłam balkon chwastami i warzywami, żeby odgradzał mnie od przypadkowego świata. Siedzę tam wieczorami, jem kolację z Antonim i patrzę jak rośnie papryka. Mówię pnij się wiciokrzwie, rośnij słoneczniku, żeby sikorki miały co jeść kiedy przyjdzie mróz. Potem piję z tobą wino czytając roślinom

na głos wiersze, albo słucham jak opowiadasz o nieżyjącym dziadku. Szukam bezpiecznych przytułków, w których nie ma nic o bombach, uchodźcach koczujących na granicach, obecnym rządzie. Stwarzam sobie bezpieczną fikcję. Jasne, że to hipokryzja. Ale zwyczajnie już nie mogę.

2036 Mijam jest z północy kontynentu, uparta i biała jak skruszony lód, z oczami ciemnymi i skośnymi jak dwa płomienie świeczki. Spotykam ją w Oslo, na konferencji dotyczącej nowinek technologicznych w budownictwie. Spędzam tam trzy dni. Zamiast słuchać kolejnych prelegentów gapię się na nią jakbym pierwszy raz w życiu zobaczył kobietę. Te dwa płomienie, które ma w oczach walą mnie po wnętrzościach. Wyszukuję ją potem głosowo i przesyła mi swój zapach. Jest z zimnej północy ale pachnie ciepłym morskim piaskiem. Chcę żeby urodziła mi lodowe dziecko, które nie będzie się bało niczego.

2056 taty nie widziałem od dawna żyje w wirtualnym świecie i mało interesuje go to co dzieje się tu pośród nas ludzi z krwi i kości mam 8 lat i właśnie postanawiam iść na prawo od centrum na polanę szukać babci

2016 Trwa szóste wymieranie. Obumierają rafy koralowe i giną słodkowodne mięczaki. Ocean przypomina pustynię. Coraz mniej jest rekinów i płaszczyk. Już za kilka lat w Afryce nie będzie dziko żyjących lwów, gepardów i lampartów. W Azji wyginą tygrysy. Na całym świecie masowo znikną płazy. Słonie morskie u wybrzeży Antarktydy Wschodniej, które z zamontowanymi czujnikami badają zmieniające się zasolenie wód głębinowych niedługo będą wspomnieniem. Wraz z nimi zakończą życie rozgwiazdy i inne stworzenia żyjące przy dnie. Wzrośnie zanieczyszczenie powietrza a tym samym zapalność na choroby układu oddechowego wśród ludzi. Jeszcze bardziej podniesie się temperatura, mniej będzie wody pitnej, a kataklizmy naturalne staną się powszechne. Nieliczne żabki będziemy hodować tylko w akwarium, jak dziś gupiki, neonki czy glonojady.

2036 Pewnego razu mama opowiadała mi o tym jak spadł deszcz. Dziadek Stasiu stał wtedy na balkonie i przyglądał się kałuży, w której taplały się wróble. Wcześniej długo nie padało. Ptaki, których już wtedy było mało, jakoś sobie radziły ze znalezieniem wody do picia. Ale ta mokra plama na chodniku sprawiła, że przyleciało całe stado. Rozwydrzone ptaki, oszołomione i szczęśliwe wskakiwały do brudnej wody, tarzały się w niej, trzepotały skrzydełkami i podskakiwały na swych cienkich nóżkach jakby to był najwspanialszy, najczystszy akwen na świecie. Ponoć dziadek nie mógł się nadziwić ile ptaki mogą mieć w sobie radości i śmiał się wtedy tak, że rozboleł go brzuch.

I musiał wypić pięć kubków herbaty miętowej.

2056 moja wrodzona elektroniczna mapka w nadgarstku powinna wskazywać błędnie położenie moje mojego domu mamy i babci ale od trzech dni ze względu na panujące gorąco i stopień zapylenia ta głupia mapka zwyczajnie się wyłączyła słońce świeci grzeje ale przed oczami i tak mam półmrok nie zrażam się mam przy sobie kompas który

dostałem kiedyś od taty i starą lornetkę babci mijam most uniwersytecki i idę dalej lekko na północ trochę na wschód wzbijając tumany kurzu spodziewam się no właśnie czego się mogę spodziewać po tym jak przed sekundą przede mną przemaszerowała żyrafa

2016 Nie poszłam do pracy więc nadrabiam zaległości i jadę budować perkusję ze sklejki. Precyzyjnie odmierzam, rysuję a potem wycinam na pilarcie niewielkie fragmenty z dwumetrowego plastra drewna. Prostokątnych pudeł rezonansowych ma być jedenaście. Każde ma cztery ścianki, dwie węższe i dwie szersze plus jedna dodatkowa do zatkania wlotu. W przyszłym tygodniu, o ile znajdę wolną chwilę, przyjadę tu znowu, żeby je posklejać, a potem jeszcze raz żeby idealnie oszlifować, i znowu – już na malowanie i przygotowanie stojaka. Potem z 20 innymi osobami tworzącymi instrumenty, których dotychczas nikt nie skonstruował skomponujemy utwór i w grudniu zagramy koncert. Jeden jedyny raz.

2048 Ludzie przestają ze sobą rozmawiać. Każdy kto chce pracuje ale z domu. Za używanie samochodu grożą wysokie grzywny. Zainstalowali nam czytniki czasu. Pracujesz nad konkretnym projektem w określonym czasie. Wykonasz zadanie masz środki na koncie, nie wykonasz – nie kupisz jedzenia. Prawie nie ma ptaków. Prawie nie ma drzew. Jest beton i pustynia. Moi sąsiedzi wynieśli się do drugiej części miasta. Czasem budzę się złana potem. Gadam wtedy do siebie żeby nie zapomnieć słów. Ale to jeszcze nic. W klinikach są maszyny. Zostawiasz komórkę jajową, wpisujesz dane do systemu i powstaje człowiek, dziecko pozaustrojowe. Grube, chude, jakie chcesz. Jesteśmy mrowiskiem zidiociałych kurczaków. Nad nami latają drony. Jest dronowa policja i dronobusy. Na słońce nie mówi się już słońce tylko żabo pomarańcza, nie wiem dlaczego. I każdy ma w domu co najmniej jednego robota. Te roboty potrafią czytać i robić chmury dla pozaustrojowych dzieci. Chmury są z cukrowej waty! Roboty wysyłają je w niebo. Po ulicach biegają dzieciaki z łukami. Jak któreś trafi w chmurę, ta opada lekko i można ją zjeść.

2056 babcię włączałem kiedy jeszcze mieszkaliśmy w ogromnej kołyszącej się kuli tuż przed zaśnięciem w jej opowieściach pojawiały się nic nie mówiące mi wtedy nazwy które doprowadzały mnie do szału nie mogłem pojąć po co mi facelia błękitna na co gryka zwyczajna mak polny czarnuszka siewna ogórecznik lekarski nostrzyk lnicznik siewny czy złocień polny na cholere mam słuchać o ślazię piżmowym i pszczelich łąkach jeśli nigdy w życiu nie widziałem i nie słyszałem pszczoły fakt jest jednak taki że dzięki tym bajkom usypiałem błyskawicznie a teraz idę po gruzowisku w głowie mam ten ślazię i złocień i nie wiem co z tym zrobić babcia hania jest nieźle stuknięta mówi mój ojciec którego jak wiecie dawno nie widziałem

2016 Dopiero całkiem niedawno naukowcy z Uniwersytetu w Stanford odkryli, że po wybuchu wulkanu Toba na Sumatrze 70 tysięcy lat temu, cała populacja ludzi zmniejszyła się do jednego tysiąca par. JEDNEGO TYSIĄCA PAR! Wszyscy pochodzimy od tego tysiąca zdolnego do rozmnażania. Skąd pochodzą twarde dyski.

2048 Po ostatniej suszy trwającej trzy lata decyzją władz na wniosek mieszkańców miasto zostało oficjalnie podzielone. Błotna maź zamiast rzeki jak blizna oddzieliła dwa brzegi ruchliwego organizmu. Część mieszkańców wyniosła się na północ miasta. Na polanę. Też tu mieszkam choć mogłabym mieć piękne mieszkanie w jednej z kul projektowanych przez Antka. Mój wnuczek skończy niedługo rok.

2056 na polanie mieszkali inni inni czyli nie różniący się kolorem skóry językiem czy bogiem babcia mówiła że ponoć kiedyś miało to znaczenie teraz każdy miał wszyty translator a że na całym świecie od dawna panowała susza ludzie łazili gdzie popadnie a właściwie tam gdzie poleje się woda ci inni byli inni bo mieszkali na polanie bo kilka lat temu opuścili domy i założyli po drugiej stronie mostu miasto a właściwie półmiasto w którym wszystko był po staremu albo nawet po przed staremu nie słuchali tak jak my ukraińskich piosenek zawsze uważałem że ukraińska muzyka jest najfajniejsza nie używali robotów nie zamawiali jedzenia z przyszepl nie czytali z kulistych czytników wyobraźni żyli jakby to powiedzieć jak takie trochę bardziej myślące dinozaury – tak mówi tato choć jak mówiłem rzadko go widuję no i kontaktowali się ze sobą ustnie to znaczy za pomocą naturalnego głosu

2016 Paweł, który pomaga mi konstruować perkusję, naciąga elastyczny, kremowy, tłusty kawałek tworzywa na mały bębenek. Co to, pytam z grymasem na twarzy. Skóra, mówi. Ble, okropne. Może nie długo tak samo jak zgodę na wykorzystanie wątroby, serca czy oka po naszej śmierci będziemy mogli podpisać zgodę na wykorzystanie naszej skóry w muzyce. Zwierząt jest przecież coraz mniej.

2056 każdy z nas ma mikronadajnik wszyty zaraz po urodzeniu dzięki niemu udostępniam myśli mamie tacie czy babci mam dwóch kolegów andrieja i filipa którym też udostępniam myśli resztę ludzi mam poblokowanych na prośbę mamy babci nigdy nie widziałem ale kocham ją na maksa bo łączy się ze mną przez swój nadajnik który zgodziła się sobie zamontować tuż po moim urodzeniu dzięki niemu mamy stały kontakt gdyż czyta mi zapisane kiedyś strony o których mówi książki najbardziej lubię te o piratach indianach i kotach

2048 Mam małą energooszczędną chatkę na polanie. Panele słoneczne ogrzewają wodę ale człowiek na starość nie myje się zbyt często. Sadzimy tu drzewa bo chronią glebę przed bezpośrednim działaniem słońca i zmniejszają parowanie wody deszczowej. Wierzmy, że deszcz w końcu spadnie. W co innego moglibyśmy wierzyć. Jeżeli tego nie zrobimy i spadnie wysuszona ziemia go nie przyjmie tylko pogna dalej i zginiemy w powodzi, a rwące potoki zniszczą naszą osadę.

2056 babcia mówiła że jak trochę dorosnę to się spotkamy a ja pirat maciej właśnie poczułem że dorosłem i jak w końcu ją znajdę to usiądę z nią na polanie i pogadamy wydając różne dźwięki albo posiedzimy w ciszy i prześlę jej myśli o tym jak wygląda teraz mój dom co robi wiatr z sukienką mamy i że chciałbym już zobaczyć tatę i na pewno nie będzie gorzej niż tu

2016 Antek nie może zasnąć. Czytam trochę bez zrozumienia, jak automat. O bocianach, wydrach i bobrach. Potem artykuł o odnajdywaniu się zwierząt w przestrzeni. Wyliczam mu morza, oceany, jeziora i bagna na Księżycu. Ale to na nic. Sąsiedzi pode mną urządzają jatkę. Piękna ona, piękny on. Tylko od czasu do czasu zaświerzbi go ręka a wtedy musi se walnąć. Ona się drze, gdzieś biegnie, może się chowa, trzaśnięcie drzwiami, szarpanie klamki, ty kurwo, coś leci (tego nie słyszę), coś spada (już tak), toczy się po podłodze, pies ujada ale słycać w tym ujadaniu strach, zostaw mnie krzycz czy ona, ała ała wypierdalaj. Piętnaście minut ciszy i od nowa. Runda czwarta. Czekam na policję. Przyjeżdżają po pół godzinie. Na dole już spokój i cisza jak makiem. Spisują mnie. Jeden staje w oknie na klatce i świeci latarką jakby dawał znaki parkingowemu (nie wiem po co). Drugi puka do drzwi ale nikt mu nie otwiera więc wspólnie z kolegą uznają że po sprawie. Czytam o bocianach, wydrach i bobrach. Artykuł o odnajdywaniu się zwierząt w przestrzeni. Antek zasnął. Ja nie.

2056 boję się kotów mutantów które jedzą myszy mutanty wszędzie ich tu pełno od kiedy mój robot uległ awarii nie mam się z kim bawić jestem już na polanie ale widzę same chwasty burą ziemię chaotycznie poprzecinaną szparami nad którymi wiszą małe drzewka ich korzenie straciły grunt i zawisły wyrwane z ziemi nie wiem gdzie szukać babci próbuję się połączyć z nią przesłać myśli ale nagle namierza mnie mama mówi że nie chciała mnie martwić i że babcia nie żyje i że babcia jak to nie żyje tak mi to dźwięczy teraz w głowie jak ten gruz zresztą nic już nie wiem bo lży a obiecywałem sobie nie płakać siadam przed dziurą i ryczę jak deszcz a mama każe mi natychmiast wracać a ja nie mogę pojąć że maszyny rodzą dzieci a takie babcie muszą umierać to niesprawiedliwe

2016 Jesteśmy jednym z najsprawniejszych w dziejach drapieżników.

2036 Umówiłem się z chłopakami na mecz. Wprawdzie gramy na murawie ale to pierwszy stadion dostępny publicznie, w którym zaburzono grawitację. Niektórzy więc unoszą się swobodnie i dość przypadkowo majtają nogami.

2056 zaczęło się od tego że poszedłem do szkoły i w 1a nie znałem nikogo w ogóle ale to w ogóle po dwóch miesiącach zacząłem lubić kilka osób w tym fiodora zdarzało się że miałem małe kolorowe roboty w kieszeni kurtki i mu dawałem fiodor jest pierwszą osobą której jestem wierny tak naprawdę wierny i to babciu koniec mojej historii z fiodorem mam ci tyle do powiedzenia kołyszę się jak sroka na przegniłym konarze skarpecianego drzewa i nie wiem co robić dokąd iść jestem głodny zmęczony i wściekły wiem że nadal mogę się z tobą łączyć a właściwie z nadajnikiem wszystkie nadajniki znajdują się na generalnym czytniku ludzkości i mama powiedziała żeby nie był smutny bo dzięki niemu mogę wciąż ciebie słuchać ale ciebie przecież nie ma nie ma tylko ta pamięć zapisana i odtwarzająca w kółko te same historie.

Miasto mlekiem i czekoladą płynące

Margaret Ohia



Grzechem było marzyć w wieku dwudziestym. Niepotrzebną sprawą jest robić to i w nastym. Bardziej niż wyobraźnią otwierać nowe, nieistniejące wokół przestrzenie, wolało się uciekać – w nowe, te już na mapie zaznaczone odległością geograficzną. Już dawno przestali rozmawiać z miastem. Miasto, straciwszy nadzieję, nie odzywało się. Milczało. Plan był jeden: uciec stąd.

Ucieczki nauczyło ich doświadczenie dzieciństwa. W dzieciństwie byli zmienni. Lękali się być sobą. Więc, w zależności od miejsca, otoczenia, sytuacji, okazji, okoliczności przyrody, ludzi, wymagań, oczekiwań, kryteriów, ocen i osądów, opinii, rodzaju interakcji, reguł i nakazów, tego, co myśleli, że inni myślą o nich, przybierali różne pozy. Wstydziło się tego, że byli inni. Do nikogo niepodobni. Rasowo niezgodni. Skrzyżowanie psa, wielbłąda i węża? Bokserka ze skrzywionym nosem. Kiedyś z podkulonym ogonem wychodziła na miejski ring, aby pobić własne myśli. Dostawała cudze. Odbijała się od spojrzeń, skojarzeń, grymasów i uwag. Wąż wspinający się po wieży ciśnień. Często pytano go, skąd jest. Jakiej jest rasy. Nie odpowiadał. Buldożerski wyraz twarzy – skrzynia gniewu i żalu – wystarczał. Chcieli dopasować się do otoczenia.

Nie mieli nadziei na zmianę. Chcieli, żeby miasto ich nie widziało. Żeby o nich zapomniało. W codziennej homogenii, identyczności, monotoności, zazdrościli nudnym tożsamościom, które miasto wchłaniało bez cienia sprzeciwu.

A jak sobie miasto wyobrażali? Idealne miasto. Takie, które nie patrzyło. Nie było nimi zaciekawione. Nie gapiło się uporczywie i natrętnie. Uznawało za zwyczajnych. Nie wstydziło się w nich tej niejednakowości.

Miasto, w którym można dobrze żyć, da się śnić, sny wyrażać i je spełniać. Ludzie żyją tutaj ze sobą. Rozmawiają, słuchają się. Na mapie miasta istnieją miejsca, w których można spotkać się z innymi ludźmi, którzy po prostu dzielą się swoją historią. Mówią, co czują: „Jestem wkurwiona!”, „Jestem wielbłądem z psim pyskiem”, „Dopóki nie zostałam matką, jedyną drogą do szczęścia była ucieczka”, „A ja nikogo nie nienawidzę, choć z nikim się nie zgadzam”.

– Samochód mi się zepsuł, ale ja i tak nie wychodzę z domu – powiedział ktoś.

– A dlaczego ty jeździsz samochodem? Przecież samochody są tutaj niepotrzebne, wszędzie można dojść. Bunkrujesz się? Możesz już wyjść z ukrycia, nie bać się, że ktoś cię „niechcący” urazi, wytknie palcami, dotknie „niewinnym” żartem o „Żydach” czy „Cyganach”. Tutaj jest bezpiecznie. Nikt nie ryknie „Ty Murzynie”. Nikt nie huknie „nienawidzę”, tylko dlatego, że jesteś sobą. Bycie sobą zachwyca.

W zatłoczonym Wrocławiu, gdzie ulice roją się od uśmiechniętych i beztroskich twarzy – w jesienne południe jedna z nich postanowiła się nagrodzić. Słodką bułką z rodzynkami. Dobrze, że miała, co zjeść. Niedobrze, że zjadła, co miała. To miasto ze sobą spożywczo współpracuje. Tu można kupić kromki chrupkiego chleba z humusem, spaghetti z humusem i słonecznikiem, i siemieniem lnianym oraz jabłka. Migdały i orzechy ziemne. Doszła tutaj na nogach, bo autobusów w tym mieście nie ma, nie ma ulic i tramwajów,

nie ma samochodów. Jedyne wyjście z niego to drzwi – frontowe, bez framugi, z wypisanym na grzbiecie „sterować łokciem”. Cokolwiek to znaczy, ale chyba, że należałoby rozpychać się łokciami, aby osiągnąć swój cel – dokądś wyjść lub gdzieś wejść.

Przechodził przez plac Bema w brązowej czapce, żeby nie było go widać.

– On jest z cukru. Mamo, mam ten chłopiec... Czy on jest z czekolady?

– Pewnie tak. A ty jesteś z mleka. Zaprzyjaźnijcie się.

Żyją w mieście empatycznym. Słyszą o sobie same serdeczności. Nikt się na nich nie złości, nikomu nie przeszkadzają. Mówią głośno o sobie i o innych, mówią o mieście. Miasto ich słucha i pyta: „Czego potrzebujecie?”

– Współodczuwania, szacunku i wsparcia.

W tym mieście możesz siebie na nowo pokochać – za to, że jesteś, że po prostu jesteś taka czarna i że nigdzie się nie ruszasz. Że możesz pisać. Bo możesz mówić o emocji i o głodzie.

Emocjonalność. Z ekspresją im do twarzy. Gdy czują złość lub czują mdłość, mogą to wypowiedzieć, wykrzyknąć, wyrzygać, wypłakać. A miasto wyczuwa, poświęca uwagę i przytula. Czasem się boi, potem się złości – bez destrukcji. Nie boi się, że „nieujarzmionych dzikich”, nie kipi „Polska dla Polaków”.

Szkoła. Przyjechać na kampus. Ekscytacja. Kampus nie istnieje, uczy się online... Pójdę na jogę, poskaczę na meczu koszykówki... Wybieraj życie. Stare nawyki już dawno poszły w odstawkę. Muszę pisać, aby żyć. Aby mieć oddech w płucach, aby kochać życie i kochać siebie.

Marzenia. O życiu w Hollywood. O studiach na UCLA. O napadzie i sławie, i pieniądzach. Nie, o sławie nie. Ale o oksydacji. Ekscytacji. O kilkudziesięciu tysiącach miesięcznie. O domu ze szklanymi ścianami. Wszystko jest jej. Nie, nie robi tego.

Autorefleksja. Myśląc o tym, dlaczego tak bardzo odrzucamy innych, odmawiamy sobie prawa do szczęścia. Wybieramy – białe lub czarne, wóz lub przewóz. Mam wizję, że jestem stąd i na wszystko mnie stać, aby być piękną. I praktykować obok siebie, na sąsiedniej macie, cudowne życie ze zdrowymi relacjami. My ze sobą dla nas, po to, aby czuć, że żyjemy.

Nie ma wyjścia, biegać i biec, dobiec, kulawo – z jedną nogą odbiegać. Odbiegać dookoła. Słupa.

Ludzie. – Hej, jak nazywa się takich ciemnych, jak ona tutaj? – The most polite way would be to say „African American”.

Ludzie w tym mieście są naturalni. Żyją w zgodzie ze sobą. Nie muszą nikogo udawać. Nie muszą zadawać się tylko z podobnymi do siebie. Próbują. Współpracują w kontakcie, nie improwizując miłości.

Centra duchowości? Szkoły jogi? Taniec ekstatyczny?

W powietrzu unosi się oksytocyna. To na niej unoszą się poduszki. Latamy nad miastem.

Wody wieczny wrot

Katarzyna Niepogodzińska

... każda z tych kombinacji warunkuje całe następstwo kombinacji tego samego rzędu, tedyby dowiedziono ruchu kołowego szeregów absolutnie identycznych: świat jako ruch kołowy, który powtarzał się już nieskończoną ilość razy i który grę swoją gra in infinitum.

Fryderyk Nietzsche,
*Wola mocy. Próba przemiany wszystkich wartości*¹

¹ F. Nietzsche,
Wola mocy. Próba przemiany wszystkich wartości,
przet. S. Frycz i K. Drzewiecki,
Kraków 2004,
par. 384, str. 273-274.



Kiedy zapada noc, miasto powoli się wycisza, oddycha głębiej, odpoczywa. Z wolna zapalają się światła ulicznych lamp, w Odrze, jak w lustrze, ukazuje się wspaniały obraz Wrocławia, bliźniaczo podobny do tego za dnia. W oknach budynków, za wyjątkiem tych dostojnych, urzędniczych, robi się jasno, więc bywa, że spędzamy czas z rodziną, pijemy herbatę, szykujemy się do snu, przytulamy.

Rankiem rządzi czas, wskazówki zegara niemilosiernie przesuwają się do przodu, łapiemy w pośpiechu torby, kanapki, za rogiem zaś autobusy i tramwaje. Na parapetach okiennych leniwie przeciągają się tylko koty, nasłuchując dźwięku przekręcanego w zamku klucza i odgłosu oddalających się kroków. To czas pracy. Zapełniają się również urzędy, załatwiamy sprawy, przedstawiamy wnioski, załączamy stosowne dokumenty. Numerki za numerkiem, w kolejce. Pojęcie kolejki zasługuje na osobną uwagę, właściwie to stoimy w jakiejś kolejce przynajmniej raz w ciągu dnia; kolejka do windy, kolejka w sklepie, w przychodni. Wolałabym się jakąś kolejką przejechać, może uniknęłabym gigantycznych korków w drodze do pracy. W kolejce ludzie miewają napady złości, ba, nawet prawdziwego szału, ale bywa, że nawiązują znajomości, „spotykają się” we Wrocławiu.

Mam dziś wolny dzień, spaceruję Wybrzeżem Wyspiańskiego, w stronę mostu Grunwaldzkiego oraz Urzędów: Wojewódzkiego i Marszałkowskiego. To bastiony polityki. Tam rządzą nasi reprezentanci. Ich urzędnicy przewalają stosy papierów, pomagając w realizacji wielkich planów, strategii. Jeśli jednak decyzje władz są sprzeczne z wolą ludu, zdarza się, że na placu obok któregoś z urzędów gromadzi się tłum i dochodzi do manifestacji. Nagle z jednego z tych gmachów, załatwiwszy swe sprawy, wybiega On. To Jan, mój serdeczny przyjaciel. Kieruje się w stronę mostu. Nie widzi mnie, choć przebiega tuż obok. Z jego niedomkniętej torby wypada kilka rzeczy. Krzyczę w jego stronę. Jan odwraca się i wreszcie mnie poznaje. Uśmiecha się zmieszany, zbiera swój portfel z ulicy. Kilka monet toczy się w stronę rzeki i wpada do wody. Pytam Go dokąd tak biegnie. Mamrocze pod nosem, że ma jeszcze jedno ważne spotkanie. Jest jakiś zamysłony, nieobecny, twarz ma bladą, jak kartka papieru. Nieco zniecierpliwiona zegniam się i odchodzę. Po kilku krokach oglądam się za siebie i lekko zataczam się na

widok, który ukazuje się moim oczom. Przy brzegu, w wodzie, stoją postaci kobiece. Jan okazuje się mitycznym Hylasem – powiedzmy, że tym z obrazu Johna Waterhouse'a. Nimfy wciągają Go pod wodę.

Na ekranie telefonu idę w Google'u tropem hasła „Najady – nimfy wodne”. Jedna z nich to Aretuza. „Zakochał się w niej bóg rzeki Alfejos. Aretuza uciekła przed nim na wyspę Ortygię koło Syrakuz na Sycylii, gdzie zamieniła się w źródło. Po przemianie bóg Alfejos zmieszał się z Aretuzą, swą własną wodą”. Kolejna, Salmakis, w mitologii greckiej była najadą jeziora w Karii. „Pokochała syna Hermesa i Afrodyty – Hermafrodytę. Ten wpadł w jej objęcia podczas kąpieli, jednak nieczuły na jej wdzięki odrzucił zaloty pięknej nimfy. Salmakis była jednak uparta, więc uprosiła bogów, aby połączyli ją z ukochanym w jednym ciele. I tak bogowie uczynili z obojga jedno ciało o cechach obu płci”. Od dawien dawna miłość miewała mroczną stronę, mnożyła strategie dotarcia do serca wybranki lub wybranka. Dziś wodne stwory o pięknych ciałach kobiet przyciągają Jana swoją urodą i mocą, może również darem widzenia przyszłości. Podobno nimfy skusiły Hylasa nie tylko miłością, ale i władzą. Czy to samo pociąga Jana?

Podchodzę bliżej rzeki. Po nimfach nie ma ani śladu. Za to Jan stoi oparty o drzewo i drży z zimna. Ma przemoczoną kurtkę i spodnie. Spogląda na mnie tęsknym wzrokiem, trudno mu nie pomóc. Niedaleko stoi dom, Dom na Wodzie. Podchodzimy bliżej, drzwi są otwarte, w środku słychać cichą muzykę. Dobrze miejsce, aby się ogrzać i zapomnieć o trudach dnia. O burtę domu uderzają fale, zupełnie jak nad morzem. Przypływają i odpływają, kołysząc nas w zgodnym rytmie. Czas zatrzymuje się w miejscu. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zlewają się w jedną chwilę.

Innego dnia od samego rana sytuacja przypomina obóz przetrwania. Skoro budzik nie zadzwonił, a taksówka nie przyjechała, można już tylko pomarzyć o punktualnym dojeździe do pracy. Łapiąc tramwaj porządkuję zarówno myśli, jak i rzeczy w torebce... komórka, portfel, bilet. Ten bilet, a raczej bilecik, od razu przykuwa moją uwagę. Już w tramwaju oglądam go dokładniej i studiuję jego treść: „Zaproszenie dla dwóch osób. Koncert na świeżym powietrzu. Przystań wodna. Dzisiaj, godzina..... Proszę zabrać ze sobą dobry humor i wełniane szaliki”. Dziwne, myślę, nie widać dokładnie godziny, może ten koncert już trwa. I dobrze, przynajmniej nie spóźnię się. W tym samym momencie podchodzi do mnie kontroler: „Poproszę bilet”. Podaję więc bilet – zaproszenie. Kontroler uśmiecha się tylko i idzie dalej. Kamień z serca. W takim mieście aż chce się żyć.

Wieczorem muszę namierzyć swojego towarzysza na koncert. Niestety telefon się wyładował. Spaceruję więc na wybrzeżu z nadzieją, że gdzieś tu spotkam Jana. W końcu widzę jak maszeruje wzdłuż rzeki, na jej drugim brzegu. Macham ręką, aby mnie zauważył. Idzie lekko zgarbiony, dźwigając pod pachą grubą teczkę wypełnioną książkami i papierami. Wygląda na zatroskanego. Nagle zrywa się gwałtowny wiatr, woda robi się mętna i poruszona, papiery z teczki wysypują się, zaczynają żyć własnym ży-

ciem. Jakieś ważne dokumenty wpadają do wody, Jan dwoi się i troi, aby je wyłowić. Chcę tam pobiec, ale nieruchomieję. To, co widzę, jest jak z bajki. Jan pośliznął się i upadł, ale po chwili uniósł głowę i teraz Jego spojrzenie krzyżuje się ze spojrzeniem istoty, która wyłoniła się z wody. Wygląda to tak, jakby nimfa kusiła Go wzrokiem i zapraszała bez gestu. Nie czekam na dalszy ciąg. Podbiegam. Nimfa szybko znika z powrotem w rzece.

Jan z początku nie rozumie, co się stało. Jego wzrok jest jakby nieruchomy. Ożywia się jednak na wieść o koncercie. Szukamy tej imprezy nasłuchując dobiegających nas dźwięków. Okazuje się, że to koncert na dachu znanego nam Domu na Wodzie, co wpędza nas w świetny nastrój. Odpływamy.

Po doświadczeniach tamtych dni stanowczo odradziłam Janowi zbliżanie się do brzegu rzeki. Takie najady mogą być zaskakująco niebezpieczne, ale nastąpiła przecież zima i Odra była skuta lodem, więc żadna podwodna istota się nie prześliznie. To przekonanie uspiło naszą czujność. Początek jednego z kolejnych styczniowych dni też był wyjątkowo leniwy i nic nie wskazywało na to, że cokolwiek się wydarzy. Tego, że nastąpi awaria tramwaju, nie przewidziałam. Przymusowy postój trwa kwadrans i pozbawia mnie resztek cierpliwości. Bardzo marznę i marzę o powrocie do domu. Gdy w końcu ruszam, mijam jak zwykle spowite mgłą urzędy oraz – jak się okazuje – Jana, którego dostrzegam z okna. Dobrze, pomyślałam, idzie w stronę centrum. Jakież jednak jest moje zdziwienie, gdy pod koniec dnia, wieczorem, staje w drzwiach mojego domu wyglądając jak sople lodu. Woda z niego spływa i rzeka rozlewa się po podłodze.

Nadeszła wiosna i jej sezonowe roztopy, w sklepach pojawiły się nowalijki. Groźba powodzi znów staje się realna. Spaceruję brzegiem rzeki, wystawiam twarz do pierwszych promieni słońca, sprawia mi to ogromną przyjemność. Nieopodał, na dachu Domu na Wodzie, rozbrzmiewają niekontrolowane dźwięki instrumentów, szukające harmonii i rytmu. Na powierzchni Odry widać niewielkie poruszenie... Nimfa znów wabi Jana.

Ciągle to samo. Miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Myślę sobie melancholijnie, że dopiero Tanatos któregoś dnia domknie nasze oczy, byśmy wszyscy, zgodnie spłynęli w milczeniu w dół rzeki.

Ale to tylko po to, by w następnym pokoleniu kolejny Jan, wyszedłszy z jakiegoś mrocznego gmachu, dał się znowu wciągnąć nimfom w topiel. A kolejna skołowana Ofelia próbowała ratować go w Domu na Wodzie.

I tak w nieskończoność.

Wodne widma wielbią Wrocław.